Edmond Hamilton

Bitwa o gwiazdy

(Battle for the Stars)

`

Imagination, June 1956
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

I

Tę studnię nazywają Smoczą Gardzielą, pomyślał Kirk. Ognistą gardzielą, gorejącym piekłem gwiazd, kosmiczną ślepą uliczką, wiodącą prosto w niebezpieczeństwo!

Podjąłeś już decyzję. Rzuciłeś na szalę statek, setkę ludzi, swoich oficerów, swoich przyjaciół, swoją odznakę dowódcy. Ale kiedy stawką są gwiazdy…

Powiedział sobie w myślach:

— Do diabła z tym, i tak siedzimy po uszy.

Na głos zaś zapytał:

— Radar?

Stojący obok niego na mostku Joe Garstang, odpowiedział, nie odwracając się do niego:

— Jak do tej pory nic nie zauważyliśmy. Jeszcze nie.

Dłonie Kirka swędziały. Jeżeli wchodzili w zasadzkę, jeżeli oriońskie ciężkie krążowniki czekały na nich, wkrótce się tego dowiedzą. Statki mogły się kryć wszędzie wokół nich. Na radarze nie można było zbytnio polegać, w tych dzikich zawirowaniach pól siłowych energii wyrzucanej ze wszystkich stron przez tę dżunglę gwiazd.

Przez szerokie okna mostku – „okna", które tak naprawdę były ekranami skanerów, inteligentnie przekładających szybsze od światła promienie sondujące, na obrazy wizualne – jego twarz bombardowało światło tysięcy gwiazd.

W standardowym atlasie była to Gromada N-356-44. Dla marynarzy była to także widoczna manifestacja ogni piekielnych, kłębowisko rojących się gwiazd, bladozielonych i fioletowych, białych, żółto-złotych i żarzących się przydymioną czerwienią. Gorejących tak gwałtownie, że oko odarte było z perspektywy, i gwiazdy te zdawały się kotłować w jednym miejscu, ocierając się o siebie i poszturchując. Płonęły potężną ścianą, aż po samo czarne tło firmamentu, wylewając z siebie gigantyczne strumienie energii życiowej, wirującej we wspaniałych potężnych kosmicznych maelstromach. Statki kupieckie, śmiało wyprawiające się w wielkie głębie ciemności, pomiędzy planetami zwykłych systemów gwiezdnych, cofały się z obawą przed powszechnymi tutaj zagrożeniami żeglugi. Tylko głupcy – albo okręty wojenne – mogły zagłębić się w takie miejsce.

Pomiędzy potężnymi ścianami gwiazd, rozpościerała się wąska szczelina, nakryta dachem strzelającej płomieniami poświaty ogromnej mgławicy. Była jedyną drogą do serca gromady, Smoczą Gardzielą z krążących po kosmosie legend. Ale byli już tacy, którzy na tej drodze się pojawili. A przynajmniej tak mówiły pogłoski, plotki które dotarły do jego eskadry już w tak odległych miejscach, jak Plejady. Pogłoski zbyt konkretne, zbyt alarmujące, aby można je było zignorować.

Pogłoski o krążownikach z eskadr Sektora Oriona, które zniknęły w głębi gromady. Pogłoski o tajnej bazie, o ukrytej planecie. Statki z Sektora Oriona, nie miały tu nic do roboty. Podobnie, jeśli już o tym mówimy, statki z Sektora Liry, z którego pochodził Kirk. Ta gromada była ziemią niczyją, częścią stref buforowych, których zadaniem była redukcja tarć między pięcioma wielkimi sektorami galaktyki. A w rzeczywistości, te strefy międzygwiezdnego pustkowia, były scenerią nieustannych, nienazwanych, niewielkich wojenek.

Każdy z pięciu gubernatorów, pięciu wielkich Sektorów, był ambitnym człowiekiem. Solleremos z Oriona, Vorn z Cefeusza, Gianea z Lwa, Strove z Perseusza i Ferdias z Liry – każdy na każdego spoglądał z zazdrością. Pięciu wielkich baronów galaktyki, składających jedynie pozorny hołd posłuszeństwa mglistej Radzie Centralnej, mieszczącej się na odległej, na wpół zapomnianej planecie zwanej Ziemią, a w rzeczywistości niezależnych satrapów gwiazd, głodnych przestrzeni, głodnych potęgi. Tak, nawet Ferdias, pomyślał sobie Kirk. Ferdias był człowiekiem, któremu służył, szanowanym, a nawet kochanym, w pewien szorstki sposób. Ale Ferdias, podobnie jak inni, uczestniczył w gigantycznej grze w szachy, w której pionkami byli ludzie i gwiazdy, przesuwając swe eskadry tu, a tajne operacje tam, pracując nieprzerwanie nad tym co miał i co mogło, być może, powiększyć jego dziedzinę, chociaż odrobinę, o układ gwiezdny tu lub jakąś niewielką gromadę tam…

I gra się toczyła. Właśnie teraz, Kirk domyślał się, że prawdopodobnie wchodzi w pułapkę. Ale jeśli oriońskie krążowniki tu były, musiał o tym wiedzieć. Wroga baza w tym miejscu, jeśli pozostawi się ją w spokoju i pozwoli jej się rozrosnąć, mogła zdominować wszystkie trasy międzygwiezdne z Capelli do Arktura. Do jego obowiązków, jako dowódcy eskadry, należało wkroczyć tu i wszystkiego się dowiedzieć.

Kirk popatrzył na przytłaczające, niebosiężne ściany gwiazd, które rozciągały się od jaśniejącej mgławicy w górze, aż po absolutną nicość w dole.

Pomyślał o Lyllin, czekającej na jego powrót na Wedze. Marynarze nie powinni się żenić.

Zapytał ponownie:

— Radar?

— Ciągle nic — odparł Garstang. Jego kwadratowa twarz była równie ponura, jak i Kirka. Był on kapitanem jego flagowego okrętu Starsong, i wszystko co mogło stać się ze statkiem, było dla niego istotne. — Jeżeli ta baza naprawdę tu jest — stwierdził, — powinniśmy przylecieć tutaj z całą eskadrą.

Kirk pokręcił głową. Podjął już decyzję, i teraz nie miał zamiaru pozwolić sobie na wątpliwości, niezależnie od tego, jak bardzo czuł się samotny i odsłonięty.

— To mogłoby być dokładnie to, czego chce Solleremos. W takiej zasadzce, w tym całym bałaganie, cała eskadra mogłaby zostać

kompletnie rozbita. Wtedy droga do Liry stanęłaby szeroko otworem. Nie. Jeden statek, to maksimum, co możemy zaryzykować.

— Tak jest, sir — odparł Garstang.

— Niech cię diabli wezmą, Joe — powiedział Kirk. — Mów, co ci chodzi po głowie.

— Myślę o tym, że te pogłoski mówiły o krążownikach, liczba mnoga, nieokreślona. Lepiej spróbujmy złapać ich, kiedy wszyscy będą mocno spali.

Starsong stopniowo ale nieustannie zmierzała kursem na dwie czerwone gwiazdy, na krańcu Smoczej Gardzieli. Kirk pomyślał sobie, że jeżeli podjął złą decyzję i Starsong nigdy już nie wróci, to Ferdias będzie bardzo zły. Ale jemu, to już raczej nie sprawi różnicy.

Patrząc w górę, na płonące, kłębiące się fale mgławicy, jak dno oceanu ognia, Kirk spytał Garstanga:

— Czy nie wydaje ci się, że tempo wydarzeń przyśpiesza? Chodzi mi o to, że te przepychanki o władzę między Sektorami miały miejsce już od bardzo dawna, od czasu, gdy Ziemia utraciła swą realną władzę. Ostatnio jednak, wygląda to jakoś zupełnie inaczej. Coraz więcej incydentów, coraz wyraźniejsze wrażenie, że coś zmierza prosto do jakiegoś określonego celu, że jest jakiś plan, wzorzec rozwoju, którego nie jesteś w stanie dokładnie dostrzec. Wiesz, o co mi chodzi.

Garstang skinął głową.

— Wiem.

Komputery przez cały czas klikały i trajkotały. Przekaźniki skarżyły się, kompensując moc, kompensując kurs, kompensując pływy siły grawitacji zdolne bez trudu rozerwać statek na kawałki, jak skrawek słabego szkła. Dwie czerwone gwiazdy podwójnego układu wysłały im ostatnie ponure błyski i zniknęły. Wyszli już z Gardzieli.

Prosto przed nimi znajdowała się gwiazda w kolorze piersi pawia.

— Gotowi do podejścia — zameldował Garstang.

— Czekamy — odparł Kirk. — Ze zmianą kursu, będziemy czekać aż do ostatniej chwili. Jeżeli nie wychwycili nas wcześniej, może w ogóle im się nie uda.

Garstang wydał odpowiednie rozkazy. Kirk obserwował jak pawio-niebieska gwiazda, szybko rośnie. Nie było pułapki w Gardzieli, a więc co teraz? Pułapka na planecie niebieskiej gwiazdy? A może nic. Pogoń za wiatrem w polu, strata czasu i pieniędzy? A może to Solleremos wzniecił te pogłoski, aby odciągnąć uwagę Kirka, podczas gdy uderzenie zostanie wymierzone gdzie indziej.

Nagle Kirk poczuł się bardzo stary i bardzo zmęczony. Służył już w eskadrze od dwudziestu lat, od czasu kiedy skończył szesnastkę, i w trakcie tych wszystkich lat spędzonych na wielkiej grze o gwiazdy, napięcia, troski nigdy nie ustawały.

W pewnym sensie, to musiało być całkiem miło, pomyślał Kirk, w tych dawnych czasach, setki lat temu, kiedy Ziemia ciągle jeszcze naprawdę rządziła, a wszystkie gwiezdne eskadry były częścią Marynarki Galaktycznej, zaś wielka bitwa prowadzona była z samą galaktyką, a nie przeciwko sobie nawzajem.

— Musimy zaczynać — powiedział Garstang.

Kirk otrząsnął się z rozmyślań i wrócił do rzeczywistości. Potem miało miejsce kilka chwil bardzo intensywnej pracy i Starsong wyskoczyła z hipernapędu, rzucając się natychmiast w stronę jasnej planety, znajdującej się niemal niebezpiecznie blisko nich. Nadal nie było nawet śladu żadnego nieprzyjaciela i komunikatory ciągle milczały.

Godzinę później, zgodnie ze wskazaniami zegara okrętowego, zlokalizowali jedyny punkt wejścia określony dla planety i posadzili Starsong na powierzchni, pośrodku znacznego obszaru naturalnej pustyni, który mógł spokojnie posłużyć każdemu statkowi kosmicznemu, jaki kiedykolwiek się tu pojawi.

Po tej stronie planety panowała noc. Nie było księżyca, ale na tej planecie, znajdującej się pośrodku skupiska gwiezdnego, księżyc byłby bezużytecznym luksusem. Niebo płonęło milionem gwiazd, tak więc dzień zastępowały tu nie ciemności nocy, ale światło innego rodzaju, łagodne i wielobarwne, pełne dziwnych migotliwych rozbłysków i tańczących cieni, W tej niesamowitej poświacie gwiazd, jakąś milę dalej widać było niewielkie miasteczko. Poza nim, nie było tutaj niczego. Nie było statków... Nie było legionów Sektora Oriona.

— Statki mogą być gdzieś tu ukryte — zauważył Garstang. — Może gdzieś na drugiej stronie planety, ale gotowe do wyskoczenia na nas, zaraz jak tylko otrzymają rozkaz.

Kirk przyznawał, że to możliwe. Założył na siebie najlepszy mundur polowy w niebiesko-srebrnych barwach i przypiął na plecach przenośny komunikator. Raczej psuł on efekt, ale nie można było nic na to poradzić. Garstang przyglądał się mu.

— Ilu chcesz ludzi? — spytał.

— Nikogo. Idę sam.

Oczy Garstanga rozszerzyły się.

— Nie określę tego wprost i nie powiem, że zwariowałeś.

— Byłem już kiedyś tutaj — wyjaśnił Kirk. — Kiedy stary Volland był dowódcą, a ja chorążym. Tutejsi ludzie są biedni, ale są także bardzo dumni. Kultywują tradycje dawno minionej świetności, twierdzą że ich królowie władali całą gromadą, i tak dalej. Nie przepadają za obcymi i nie wpuszczą ich zbyt wielu.

— Ale jeśli ludzie Solleremosa już tutaj są...

— I to jest powód, dla którego biorę porto. — Kirk zmarszczył brwi, próbując ułożyć plan. — Dokładnie dwadzieścia minut po tym, kiedy wejdę do miasta, połączę się z tobą i będę to robił dalej, w dwudziestominutowych odstępach czasowych. Jeżeli spóźnię się, choćby o minutę, zabierajcie się do diabła z tego miejsca. W każdym razie, to da mi przynajmniej jakąś podstawę do negocjacji.

Garstang stwierdził kwaśno.

— W ciągu dwudziestu minut może bardzo wiele się wydarzyć. A przypuśćmy, że nie będziesz zdolny do negocjacji?

— Wtedy, już twoja głowa.

W śluzie powietrznej, teraz otwartej i wypełnionej suchym, kąsającym zimnem wiatrem, Kirk zatrzymał się, spoglądając w stronę dalekiego miasta, samotnej plamy ciemności pośród płonącego światłem gwiazd nieba i połyskujących piasków. Tu i ówdzie widać było w nim światła, ale było ich niewiele i jakoś nie wyglądały zapraszająco.

— Statek jest twój — powiedział Garstangowi. — Jeśli będziesz uważał, że coś jest nie tak, nie czekaj na mnie. Natychmiast się stąd zabieraj.

— Tak jest, sir — odparł Garstang.

Kirk lekko się uśmiechnął. Zszedł na piasek i zaczął iść w stronę miasta.

W miarę jak się do niego zbliżał, miasteczko nabierało kształtów. Domy z kamienia, w większości okrągłe lub ośmiokątne, porozrzucane były bez żadnego szczególnego planu. W świetle czerwonych, złotych i diamentowych gwiazd, płonących nad nimi równie jasnym światłem jak księżyce, wyglądały one osobliwie obco i złowrogo, jak pradawni czarnoksiężnicy w szpiczastych kapeluszach, spoglądający małymi, mrugającymi oczyma. Wiał suchy wiatr, niosący obce, nieznajome zapachy. Poza odgłosami wiatru, nie było słychać żadnych innych dźwięków.

Na granicy miasta, wyszło mu na spotkanie trzech ludzi. Ubrani byli w wyblakłe płaszcze i trzymali w rękach długie laski zakończone rogiem. Wszyscy mieli siedem stóp wysokości. Włosy na głowach nosili wysoko upięte, co podkreślało jeszcze ich wzrost. Byli smukli i pełni gracji, jak trzciny, idąc obok siebie lekkim, tańczącym krokiem, tak jakby poruszał nimi wiatr. Ale ich twarze w świetle gwiazd były spokojne i tajemnicze, oczy równie pozbawione wyrazu, jak kawałki lśniącego szkła.

— Czego sobie życzy człowiek z zewnątrz? — spytał jeden z nich w języku uniwersalnym.

Kirk odpowiedział:

— Życzy sobie rozmawiać z innymi ludźmi z zewnątrz, którzy cieszą się waszą gościnnością.

Ale oni nie mieli zamiaru mu niczego ułatwiać. Ich twarze pozostawały niewzruszone, a ten który już mówił wcześniej, oznajmił chłodno:

— Nasz władca posiadł różnorakie mądrości. Być może on zrozumie twoje słowa. Ja nie potrafię.

Otoczyli Kirka z trzech stron i poprowadzili go szerokim piaszczystym przejściem, prowadzącym między bezładnie stojącymi domami. Nerwy zacisnęły węzeł w jego brzuchu i czuł, że plecy robią mu się zimne. Spoglądał na zegarek na ręku, uważnie. Nie było słychać niczego, poza chrzęstem piasku pod nogami. Garstang powinien ich obserwować przez teleskop, ale kiedy znajdzie się między domami, nie będzie go już widać. Stało się to niemal natychmiast. Wysocy mężczyźni szli swoim lekko kołyszącym się krokiem, tak szybko, że musiał niemal przejść do niezbyt dystyngowanego truchtu, aby za nimi nadążyć. Kamienne domy z

wysokimi dachami, zamknęły się już za nimi całkowicie. Temu ciemnemu i zadumanemu miasteczku, źle przysłużyły się dawne opowieści o królach gromady, pomyślał sobie. Do dzisiaj przeszłość oddziaływała na wiele spraw.

Kiedy znaleźli się w pobliżu centrum miasteczka, prowadzący zatrzymał się koło okrągłej budowli, z której przez otwarte drzwi wylewało się światło.

— Czy człowiek z zewnątrz wejdzie do siedziby naszego władcy?

Kirk odetchnął trochę lżej, kiedy przeszedł przez drzwi. Najwidoczniej w tych pogłoskach nie było słowa prawdy…

Potężne uderzenie trafiło go w tył głowy. Upadł do przodu. Był oszołomiony, ale ciągle przytomny i próbował odtoczyć się, bijąc na ślepo pięściami i stopami. Ale natychmiast rzucili się na niego jacyś ludzie, przyciskając go do ziemi. Ciężcy, potężni mężczyźni wcisnęli mu twarz w zapiaszczony dywan, odbierając oddech i przytrzymując.

W minutę związali mu ręce z tyłu ciała i nogi w kostkach. Odcięli paski przenośnego komunikatora i zerwali go z niego. Potem, przyciągnęli go do ściany, jak worek mięsa, oparli go o nią na siedząco.

Doprowadzony do absolutnej furii, splunął krwią z ust i oszołomiony uniósł głowę rozglądając się po jasnym pomieszczeniu.

Było w nim trzech czy czterech ludzi, w oczywisty sposób nie pochodzących z tej planety, ale nie poświęcił im swojej uwagi. Ten, który przyciągnął wzrok Kirka, stał osobno, bezpośrednio przed nim, szczupły, ciemnowłosy mężczyzna o stalowej twarzy, bardzo czujnym wzroku i swobodnym, niebezpiecznym zachowaniu kogoś, kto cieszy się swoją robotą, gdyż czuje, że jest do niej wspaniale przystosowany, tak jak koty cieszą się polowaniem.

Przedstawił się Kirkowi:

— Nazywam się Tauncer.

Kirk skinął głową. Przyglądał się z szalonym zainteresowaniem temu najsłynniejszemu z agentów Solleremosa.

— Powinienem się czuć zaszczycony, nieprawdaż?

Tauncer wzruszył ramionami.

— Wszyscy robimy to co możemy, panie komandorze. Każdy na swój własny sposób.

— A więc — powiedział Kirk. — Czego pan ode mnie chce?

— Potrzebuję odpowiedzi na jedno, proste pytanie.

Schylił się, zbliżając twarz do twarzy Kirka. Widać było na niej ogromne napięcie, uwagę, badawcze poszukiwanie każdej oznaki uniku czy fałszu.

Zadał swoje pytanie:

— Jakie są plany Ferdiasa w stosunku do Ziemi?

II

Nastąpiła długa chwila zupełnej ciszy, w trakcie które Kirk wpatrywał się w rozszerzonymi oczyma w Tauncera, a Tauncer sondował go ostrym jak skalpel spojrzeniem.

Ze strony Kirka, milczenie wynikało z autentycznego zdumienia. Żadne inne pytanie nie mogłoby go bardziej zaskoczyć. Był przygotowany na przesłuchanie na temat dyspozycji dla eskadry, sił pozostających w gotowości, baz, i innych tego rodzaju spraw, które ludzie z Sektora Oriona chcieliby wiedzieć na temat Liry. Ale to…

To nie miało sensu. Ziemia nie była częścią dzisiejszych przepychanek międzygwiezdnych. Ta stara planeta, leżąca tak daleko na obrzeżach galaktyki, że Kirk nigdy jeszcze nie znalazł się nawet w odległości kilku parseków od niej… była historią, niczym więcej. Przeżywała kiedyś swoje wielkie dni, dawno, dawno temu jej synowie ruszyli do gwiazd, i jej krew płynęła w żyłach ludzi mieszkających na wielu planetach, między innymi w samym Kirku. Ale jej wielkie dni już minęły, a gubernatorzy Sektorów, grający w kosmiczne szachy, nie zwracali na nią najmniejszej uwagi.

— Powtarzam — powiedział delikatnie Tauncer. — Jakie są plany Ferdiasa w stosunku do Ziemi?

— Nie mam — odparł Kirk — najmniejszego pojęcia o czym pan mówi.

Tauncer westchnął.

— To możliwe. — Wyprostował się sztywno. — A nawet prawdopodobne. Ale przysłano mnie tutaj, abym pana przesłuchał i potrzebuję czegoś więcej, niż pańskich słów i wrażenia niewinności. Brix!

Jeden z pozostałych obecnych w pomieszczeniu ludzi, wystąpił. Tauncer powiedział mu coś na ucho, a tamten skinął głową i zniknął w ciemnościach, po drugiej stronie pokoju. Serce Kirka waliło mu z niepokojem. Spróbował stanąć na nogach, ale był za mocno związany. Nie mógł zobaczyć swojego zegarka, ale nie wydawało mu się, by od jego wejścia do miasteczka minęło więcej niż siedem, czy osiem minut. Mnóstwo czasu na jakąś sztuczkę. Odezwał się do Tauncera:

— Nie wszedłem w to, z tak zupełnie zamkniętymi oczyma. Moi ludzie otrzymali odpowiednie instrukcje.

— Och, jestem pewien, że otrzymali. Ale proszę się tym tak bardzo nie przejmować, panie komandorze. Szczegóły tej pułapki zostały oparte na drobiazgowych badaniach pańskiej psychiki oraz poprzednich pańskich zachowań. To było niemal zupełnie niemożliwe, aby pan w nią nie wpadł. Czy mógłbyś trochę się z tym pośpieszyć, Brix?

— Wszystko gotowe.

Brix wrócił, niosąc lekki trójnożny statyw, z zamontowanym na nim rzutnikiem. Na ten widok, serce Kirka zanurzyło się zimną kulą w głębiny jego żołądka. Miał już wcześniej okazję oglądać w akcji ten specyficzny typ rzutnika. Nazywano go vera-emiterem, ponieważ wyrzucał z siebie

impulsy elektryczne o starannie dobranym zakresie, które kompletnie paraliżowały i demoralizowały ludzki mózg, czyniąc go czasowo niezdolnym do kłamstwa lub oporu przeciw przesłuchaniu.

Kirk nie posiadał żadnych informacji o Ziemi, które mógłby zdradzić. Ale w jego umyśle znajdowało się wiele innych rzeczy, rzeczy o podstawowym znaczeniu militarnym dla Liry, które Solleremos z największą chęcią chciałby poznać.

Ile czasu jeszcze pozostało? Jeszcze dziesięć minut? Za dużo. Nawet pięć minut byłoby za dużo, z tym projektorem przystawionym do głowy.

Nie mógł wstać, ale mógł się przetoczyć. Przetoczył się więc, działając w tak krótkim ułamku sekundy, że wziął z zaskoczenia nawet Tauncera. Rzutnik był tylko cztery, czy pięć stóp dalej. Brix i pozostali rzucili się na niego niemal natychmiast, ale nie byli wystarczająco szybcy. Zaaplikował trójnogowi miażdżące kopnięcie, obydwiema związanymi stopami razem. Aparat przewrócił się. Nie mógł liczyć na to, że się rozbije, nie na tej podłodze wyłożonej miękkim dywanem, ale ustawienie go z powrotem zajmie im trochę czasu.

Próbował zająć ich czymś tak długo, jak to tylko będzie możliwe, ale Tauncer doskonale rozumiał o co mu chodzi. Odesłał do tyłu swoich ludzi, kazał Brixowi ponownie przygotować rzutnik i zwrócił się do Kirka:

— Komandorze, może pan sobie darować. Ja mam swoje rozkazy, a wojskowi mają swoje. Mamy trzy krążowniki, rozmieszczone w różnych miejscach, tuż poza zasięgiem radaru. Kiedy wylądowaliście, otrzymały one odpowiednie rozkazy i już wyruszyły w drogę.

Uśmiechnął się krótko.

— To jest cena, jaką się płaci za sławę, komandorze. Piąta, to elitarna eskadra Ferdiasa i nikt nie dostanie jej dowództwa, jeżeli nie jest w specjalnych łaskach u Ferdiasa.

— Przyjaźń, to jedno — gorąco zaprotestował Kirk, — a łaska, to coś zupełnie innego. Nie podoba mi się pański dobór słów.

To były tylko słowa, słowa pozbawione znaczenia. W środku myślał wyłącznie o Garstangu, o Starsong i o życiu wszystkich ludzi na jej pokładzie. To on ich tu sprowadził.

Popatrzył na Tauncera i zaczynał go nienawidzić, nienawiścią tak głęboką i tak zimną jak kosmos.

— Ferdias każe wyrwać wam za to serca — powiedział.

— Być może — odparł Tauncer. — Niewykluczone jednak, że inne sprawy będą bardziej zajmować jego myśli.

— Ziemia? On tam nigdy nie był. Podobnie jak my wszyscy. To przecież tylko nazwa, i to w dodatku na wpół zapomniana. Dlaczego Ziemia miałaby zajmować jego myśli? Dlaczego, Tauncer?

Ile może trwać dwadzieścia minut? Ile czasu potrzeba trzem krążownikom na przybycie z punktu X poza zasięgiem radaru, do Punktu Zero? Ile czasu potrzebuje człowiek, żeby zrozumieć, że jest skończony?

Brix ponownie zameldował:

— Wszystko gotowe.
Tauncer skinął głową.
Brix dotknął przełącznika na rzutniku.
I nagle, jakby wywołany przez to dotknięcie, zabrzmiał potężny, ponury ryk, odbijający się echem od pustyni – krzyk ciężkiego krążownika, startującego na pełnym ciągu.
Ludzie popatrzyli, zaskoczeni, w stronę drzwi. Desperacko Kirk przeturlał się na bok, odtaczając się z zasięgu energii emitera, która już łomotała mu gdzieś na krańcach umysłu.
— Hej wy, tam na dworze! — krzyknął do wyjścia. — Ludzie z zewnątrz pomszczą waszą zdradę! Wezwijcie swojego władcę…
Jeden z ludzi Tauncera kopnął go w okolice szczęki. Kirk zamilkł, ze ślepą determinacją trzymając się przytomności. Przeznaczenie dostarczyło mu tę jedną szansę. Kolejnej już nie dostanie. Nie mógł sobie pozwolić na jej przegapienie.
Krążownik przeszedł nisko nad miastem. Ze wszystkich szczelin w kamiennych murach zaczął sypać się pył. Ludzie padli na kolana, zasłaniając głowy rękoma. Podłoga kołysała im się pod nogami, podrzucana przetaczającymi się młotami wstrząsów.
Rozdarte niebo zamknęło się z oszałamiającym, grzmiącym hukiem. Po jakiejś minucie lub dwu, fale dźwiękowe i wstrząsy zaczęły gasnąc.
Cisza.
Ludzie zaczęli wstawać. Ale Kirk nie poruszył się.
Krążownik wrócił. Tym razem był nawet niżej. Garstang musiał niemal otrzeć brzuchem statku szczyty spiczastych dachów. Chryste, pomyślał Kirk, teraz to naprawdę przesadza. Przy tym przelocie kamienie w ścianach latały zupełnie luźno. Kiedy wszystko się skończyło, przez drzwi weszła szczupła, długa postać. To był przywódca wysokich ludzi, którzy sprowadzili Kirka w to miejsce.
Kiedy odezwał się do Tauncera, jego twarz zastygła w masce strachu i wściekłości.
— Powiedziałeś nam, że jeżeli ci pomożemy, będziecie trzymać innych obcych z daleka!
— Będziemy — obiecał Tauncer. — Posłuchaj…
— Tak, posłuchaj — zadrwił Kirk. — Posłuchaj, jak za chwilę statek będzie z powrotem. I jeżeli nie wyjdę stąd wolny, będzie tak wracał, aż wasze miasto rozpadnie się w proch i w pył!
Wysoki człowiek stał, wahając się. Wtedy Starsong zaryczała w kolejnym przelocie. Kiedy statek zniknął, podniósł się na nogi i przeciął nożem więzy wokół nadgarstków i stóp Kirka.
— Och, nie — poderwał się Tauncer, robiąc krok naprzód. — Nie możesz…
Wysoki człowiek odwrócił się do niego, z twarzą wykrzywioną frustracją i gniewem.
— Czy dzieci królów gromady mają zostać zniszczone w twojej służbie? Czy mam wezwać tu do środka moich ludzi?

Kirk stając na nogach zobaczył za drzwiami tłum wysokich ludzi w spłowiałych płaszczach, który zaczął się tam zbierać. Tauncer również ich zauważył i powstrzymał się.

Kiedy Kirk podniósł swój nadajnik porto i ruszył w stronę drzwi, jeden z ludzi Tauncera, Brix, zawołał gwałtownie:

— Czy będziemy tak po prostu stać tutaj?

Tauncer odparł stanowczo:

— No cóż, tak. Są chwile, kiedy nie można zrobić nic innego. Ale myślę, że wkrótce zobaczymy pana komandora ponownie.

Kirk wyszedł za drzwi i ruszył przez zebrany na zewnątrz tłum. Nikt nie poszedł za nim. Uruchomił porto i krótko porozmawiał z Garstangiem, a potem rzucił porto na ziemię i szybko wybiegł z miasteczka na pustynię. Krążownik wylądował niedaleko przed nim, potężny, ciemny kształt na tle gwiazd, wyglądający jak spadająca planeta. Śluza była otwarta, w środku czekał Garstang, który wyszedł mu na spotkanie. Zaczął go wypytywać, co się stało, ale Kirk przepchnął go ciałem na korytarz, kierując na mostek.

— Idź tam natychmiast, Joe, i bierz się do roboty. Mamy na ogonie trzy oriońskie krążowniki. Wyruszyły zaraz, kiedy tylko wylądowaliśmy.

W tej samej chwili usłyszeli głos radarowca, krzyczącego z nagłym niepokojem.

— Sir!

Garstang stwierdził tonem łagodnej wymówki:

— Panie komandorze, dałby pan człowiekowi trochę więcej czasu. Radar, jaki namiar? W porządku, czekać w gotowości…

Z interkomów ostro zabrzmiały rozkazy. Ludzie szybko przeszli ma swoje stanowiska. Ostatnie co Kirk słyszał, zanim wszystko zalały wycie i ryk startu, były skargi Garstanga, że coś takiego, to już zbyt dużo dla statku. Potem, gdzieś z zewnątrz rozległ się głuchy huk. Starsong zatrzęsła się, jakby uderzona wielkim wichrem. Zarówno Kirk jak i Garstang wąchali już zbyt wiele prochu, by orientować się, że statek nie odniósł żadnych szkód. Ale oriońskie krążowniki do tej pory znalazły się już w zasięgu ognia, zmierzając na nich w normalnej przestrzeni, z planetarnymi szybkościami. Następny pocisk będzie prawdopodobnie znacznie celniejszy. Postanowili zaryzykować i nie czekać na dotarcie do przestrzeni międzygwiezdnej przed wejściem w hipernapęd.

— Idziemy! — krzyknął Kirk. Garstang włączył przekaźniki. Ostro zaskrzeczały syreny i przygasły wszystkie światła. Starsong potężnie zadrżała.

I już znajdowali się w nadprzestrzeni mknąc z najwyższą szybkością w stronę bliźniaczych czerwonych gwiazd, strzegących wejścia do Smoczej Gardzieli.

Do akcji weszły skanery i ultra-szybki radar, zastępując normalne instrumenty w tworzeniu iluzji widoku. Po chwili głos radarowca przeraźliwie oznajmił:

— Ciągle są tuż za nami, sir, Krążowniki typu F, ciężko uzbrojone i bardzo szybkie.

Przez następny kwadrans Starsong nabrała wręcz samobójczej szybkości, ale oriońskie krążowniki nie pozostawały z tyłu. Radarowiec wywoływał ich współrzędne stałym zaśpiewem, a Garstang rozkazywał coraz bardziej zwiększać moc, utrzymując jedno oko na wskaźnikach naprężenia i innych wielkości, zaś drugie na niebotycznych ścianach gwiezdnych Gardzieli, które wydawały się mknąć ku okrętowi.

Trzeba było pamiętać o ograniczeniu. Nie można pokonać Gardzieli ze zbyt dużą szybkością. W tym kłębowisku gwiazd poszycie statku mogło zostać rozerwane na strzępy przez jakiś szybki pływ grawitacyjny, albo wyparować w kolizji. Garstang już przekroczył ten limit. Ale Orionidzi nie dali się nabrać na blef.

Kirk nic nie mówił. To była robota Garstanga i pozwolił, żeby zajął się nią samodzielnie. Ale obserwował wskaźniki równie uważnie, jak kapitan. Pod stopami i wokół siebie czuł wyraźnie jak Starsong drży, skacze zwija się, jak żywe stworzenie, kiedy kolejny szaleńczy strumień energii gwałtownie okręcał się wokół niej. Jego spojrzenie skoczyło w górę, w stronę mgławicy, wiszącej ponad Smoczą Gardzielą jak ognista chmura gromów, a następnie w kierunku zbliżających się gwiazd w dole i wąskiego przejścia między nimi. Bliźniacze czerwone gwiazdy podwójnego układu, błysnęły tylko koło nich i już pozostały z tyłu.

Nagle na ekranie, który pokazywał przestrzeń za rufą, rozbłysła niewielka nova i mgnieniu oka zgasła. Starsong zadrżała jak biegnący jeleń, który usłyszał odgłos broni myśliwego.

— Daleko za rufą — stwierdził Garstang. Popatrzył na szczelinę Gardzieli i pokręcił głową. — Ale wchodząc w to będziemy musieli zwolnić, i oni dobrze o tym wiedzą. Będą nas mieli przez pewien czas w zasięgu, zanim sami także wejdą w Gardziel. Ale raczej nie będą musieli — dodał ponuro — w ogóle w nią wchodzić.

Kirk skinął głową.

— A więc musimy jakoś ich oszukać. My też nie wejdziemy w Gardziel.

Garstang stał przez chwilę milcząc. Potem stwierdził:

— Miałem nadzieję, że o tym nie pomyślisz.

— Czy masz lepszy pomysł? Albo nawet jakiś gorszy?

— Nie. — Garstang wziął głęboki oddech i przemówił do komunikatora. — Nowy kurs, północ i zenit, czterdzieści stopni. Wlatujemy do mgławicy. Na pełnym autopilocie. Jeżeli ktoś ma ochotę się pomodlić, to proszę bardzo.

Starsong wystrzeliła w górę, nurkując w obszar kosmosu tak wypełniony promieniowaniem gwiazd, że przy nim Smocza Gardziel wyglądała niemal jak pustka. Ręczne pulpity ze sterami były ciemne i wyłączone. Z centrali obliczeniowej, z tyłu mostka, dobiegły nowe odgłosy, zupełnie odmienne od normalnych sporadycznych wybuchów klekotania. To był stały dźwięk, dźwięk władzy, dźwięk, jakim przemawiała sama

Starsong. Statek teraz leciał zupełnie samodzielnie. Przebywający na pokładzie ludzie, kapitan, komandor, wyszkoleni marynarze i oficerowie, znaleźli się w jego władzy, zależni byli od jego mądrości, jego radarowego wzroku oraz jego siły. Nie mogli zrobić nic, poza czekaniem.

Starsong wznosiła się ze stałym przyśpieszeniem, jej radarowy system kierował nią po krętej trajektorii między gęsto stłoczonymi gwiazdami. Potem Kirk ujrzał prześlizgującą się po ekranie wielką połyskującą krawędź, rozrastającą się następnie w potężną chmurę pyłu i kosmicznych śmieci, rozświetloną przez uwięzione w niej na wpół wypalone gwiazdy.

Krążowniki Orionidów zmieniły kurs i ruszyły za nimi. Ale Starsong już przemykała się przez rozświecone ramiona sięgające z mgławicy, jak widmowe macki, próbujące uchwycić kolejne gwiazdy, aby je uwięzić i karmić się ich energią. Kiedy statek znajdzie się już w chmurze, będzie ukryty przed promieniami radarowymi krążowników, przez najbardziej efektywne urządzenie zakłócające w kosmosie, czyli samą mgławicę.

Efektywne. Tak. Ale potencjalnie równie niebezpieczne jak głowice rakiet Orionidów. Jedyną różnicą było to, że mgławica dawała im jakąś szansę. W walce przeciwko trzem krążownikom nie mieli żadnych.

Kirk przypiął się do fotela antyprzeciążeniowego, obok Garstanga. Na całym statku nic się nie mogło poruszyć. Delikatne, podatne na złamania organizmy z serca, kości i oddechu, znajdowały się w siatkach ochronnych. To był czas statku, czas stali, ognia, pędzących elektronów, szybszych niż myśl.

Starsong porozmawiała sama ze sobą w centrali obliczeniowej i rzuciła się na łeb na szyję w mgławicę.

III

Cały wszechświat połknięty został przez złociste światło zaklęte w pędzących strumieniach pływów jaśniejącego pyłu. Jak statek podwodny z przeszłości Starsong to ścigała się ze świecącymi prądami, to przeciskała się przez gęstsze, ciemniejsze głębiny, gdzie gwiazdy były słabsze i bardziej odległe, to z kolei ponownie wskakiwała w obszary pełne gwałtownego światła, gdzie zanurzone w chmurze słońca płonęły jak pochodnie we mgle. Odgłosy z centrali obliczeniowej narosły do rozmiarów nieludzkiego krzyku, kiedy komputery z najwyższym wysiłkiem przyjmowały zalewający je potop danych z radaru, analizowały go i wysyłały zdecydowane polecenia przekaźnikom obwodów sterowania.

Ten odgłos niemal miał w sobie jakby tony jakiejś szaleńczej melodii, zaś Starsong tańczyła w jej rytmie, wirując, lawirując między kawałkami kosmicznego gruzu, zagrażającymi jej natychmiastową destrukcją, gdyby spóźniła się choćby o ułamek sekundy. Kirk, na wpół oszołomiony, uchwycił się tylko kurczowo swojego wyściełanego fotela, ciężko łapiąc powietrze i nasłuchiwał, wczuwał się w statek.

Pochwyciła go teraz ta sama iluzja, która opanowała go, kiedy był zmuszony do lotu w chmurę – poczucie, że gwiazdy oraz ich planety zniknęły, że otulają go pierwotne ogniste mgły stworzenia. Potężne pływy zdawały się nieść statek naprzód, całe otoczenie było gorącą kipielą i wirem światła, którego strumienie pchały ich bez końca, przez nieskończoność, w której przestrzeń i czas przestały istnieć. W pewnej chwili, na krótko zaczął się zastanawiać, jak sobie radzą Orionidzi, ale niemal natychmiast o nich zapomniał. Cierpienie, oszołomienie, beztroska radość i strach, były zbyt wielkie, aby poświęcać czas na jakiekolwiek nieistotne troski o jakieś ludzkie istoty.

I wtedy, z niemal wstrząsającą nagłością, wyrwali się w pusty kosmos, zaś chmura pozostała za ich plecami. Jak zaczarowani ludzie, budzący się ze snu, Kirk i Garstang otrząsnęli się i wstali na nogi. Głos Starsong był już spokojny, zaś kadłub ponownie wypełnił się dźwiękiem ludzkiej mowy.

Jednak ciągle towarzyszyły im także ludzkie problemy. Obecnie nieco dalej za rufą, ale nadal zajadle ich ścigając, wynurzyły się z chmury trzy niewielkie plamki ciemności.

Kirk poszedł do kabiny komunikacyjnej i zawiązał kontakt ze znajdującą się daleko przed nimi eskadrą. Wydał kilka szybkich rozkazów i wrócił do Garstanga na mostek.

— Larned jest już w drodze — poinformował. — Dasz radę utrzymać się przed nimi?

— Dam — odparł Garstang i nakazał pełną moc. Teraz między nimi a Plejadami nie było niczego, poza wieloma latami świetlnymi pustej przestrzeni, i nie wahał się w pełni wykorzystać tego faktu. Oriońskie

krążowniki najwidoczniej przejęły wiadomości Kirka i podjęły ostatni szaleńczy wysiłek, aby ich pochwycić.

Kiedy okazało się to niemożliwe i kilka ich próbnych strzałów było zdecydowanie zbyt krótkich, z co za tym idzie oczywiste stało się, że nie ma szans na dojście w zasięg strzału, zanim Starsong nie doleci do miejsca spotkania z eskadrą, podkulili ogony pod siebie i zawrócili do gromady. Gdy przybyła eskadra, kosmos był zupełnie pusty, poza nimi samymi oraz odległymi gwiazdami.

Zaraz jak tylko dołączyli do eskadry, usłyszeli twardy, podekscytowany głos Larneda, zastępcy Kirka.

— A więc, rzeczywiście tam w mgławicy jest baza Orionidów! Na Boga zaraz musimy…

— Nie — przerwał mu Kirk. — Tam nie ma żadnej bazy. To była pułapka, na mnie – tylko nadal nie wiem dlaczego ją zastawili.

Poszedł do kabiny komunikacyjnej i korzystając z maszyny kodującej przygotował ściśle tajną wiadomość, do Ferdiasa na Vegę, krótko relacjonując w niej swoje spotkanie z Tauncerem.

„…nie potrafię wyjaśnić zainteresowania Ziemią, ani twoich planów jej dotyczących. Czy sugerujesz próbę odciągnięcia od jakiegoś innego celu? Czekam na instrukcje. Kirk."

Odpowiedź nadeszła w niesamowicie krótkim czasie.

„Wraz z całą eskadrą wracaj natychmiast na Vegę." I krótki dopisek: „Niestety, to nie jest żadna próba odciągnięcia. Ferdias."

Patrząc na taśmę z tą tajemniczą wiadomością, Kirk zaznał niepokojącego uczucia, że zupełnie nieświadomie przekroczył jeden z tych ważnych progów, prowadzących do kolejnej fazy życia, gdzie nic już nie będzie takie samo, jak do tej pory. Ponownie nawiedziło go przeczucie tego rytmu, tempa wielkiej gry o gwiazdy, które właśnie miało zwiększyć się jeszcze bardziej.

Nie powiedział o niczym z tego Garstangowi, ani innym. Dla nich nieoczekiwane wezwanie do bazy, oznaczało tylko niespodziewaną okazję na przepustkę. Dla niego także będzie to znacznie wcześniejszy powrót do Lyllin, niż miał na to nadzieję. Nawet to jakoś nie mogło jednak rozproszyć jego niepokoju.

Eskadra zawróciła w zwartej formacji i wzięła kurs na wielką, błękitno-białą gwiazdę, płonącą w Lirze, stolicę potężnego Sektora, stanowiącego międzygwiezdne imperium we wszystkich aspektach, poza nazwą.

Kiedy podeszli już do planety, kiedy eskadra przemknęła przez błękitnawą poświatę nad Vega Town i wylądowali w porcie kosmicznym, natychmiast ze swojego statku przyszedł Larned. Zastępca dowódcy, potężny, szorstki i kompetentny młody człowiek, wręcz tryskał pytaniami.

— Kirk, o co tutaj do diabła chodzi? Ściągać nas w taki sposób…

— Nie mam pojęcia — odpowiedział mu Kirk. — Ale niedługo powinienem się wszystkiego dowiedzieć. Zadzwoń w moim imieniu do Lyllin i powiedz jej, że wkrótce będę w domu.

Samochód powietrzny z umundurowanym kierowcą, przewiózł go na drugi koniec wielkiego miasta. Tak naprawdę, były to dwa odrębne miasta. Starsze, z pełnymi wdzięku białymi wieżami, zostało zbudowane dawno temu, przez miejscowych Vegan, naród Lyllin. Potem jednak, już ponad sto lat temu, na Vegę przyleciały statki międzygwiezdne, przywożąc pierwszą falę badaczy i kolonizatorów z galaktyki. Nie wszyscy z nich byli ludźmi z Ziemi, chociaż fala ta początkowo wyruszyła z Ziemi. Do czasu jednak, zanim dotarła ona tutaj, Ziemianie już wcześniej zmieszali się i skrzyżowali z wieloma innymi ludami żyjącymi wśród gwiazd. To właśnie ci przybysze zbudowali nową część Vega Town.

Samochód powietrzny zabrał go do tej nowszej części miasta, do wyniosłej, potężnej masy budynku Rządu. Z dachu, na którym wylądowali, pojechał w dół windą, a dalej ruszył korytarzami. Wysoki, szczupły mężczyzna, o lekko zatroskanym wyrazie, opalonej na brąz twarzy. Sprawni sekretarze, przekazywali go sobie gładko i szybko, kierując do pomieszczenia, do którego tylko niewielu ludzi kiedykolwiek miało okazję wejść.

Jak na centrum rządu tak wielu gwiazd, pomieszczenie to wydawało się być niewielkie. Ponieważ było to centrum – każdy z Sektorów miał swoją wybieralną legislaturę, ale to gubernatorzy dzierżyli prawdziwą władzę.

— Skończ z tym salutowaniem, Kirk — powiedział Ferdias. — Przecież wiesz, że kiedy tu wejdziesz, możesz zachowywać się swobodnie.

Ferdias obszedł dokoła biurko. Lekko kulał, po wypadku Klasy Dwudziestej, dawno temu. Ale nikt nie pamiętał o utykaniu, ani o tym, jak niskim był człowiekiem. Wystarczyło tylko spojrzeć na jego twarz, i kiedy się ją już ujrzało, wiadomo było dlaczego, w wieku czterdziestu lat, był on jednym z pięciu wielkich Gubernatorów.

— No to, teraz opowiadaj — polecił.

Kirk przekazał mu wszystko, całą historię pułapki w gromadzie gwiezdnej. A twarz Ferdiasa odrobinę się wydłużyła.

W końcu powiedział:

— Nie powinieneś iść tam samemu. Ale skoro udało ci się wydostać, cieszę się, że to zrobiłeś. Ponieważ teraz jestem już pewien tego, co wcześniej tylko podejrzewałem. W swoim zapale, żeby się zorientować ile wiem, Solleremos zdradził mi to, co chciałem wiedzieć.

Kirk, szczerze zaintrygowany, stwierdził:

— Ja po prostu tego nie rozumiem. Co Solleremos planuje w stosunku do Ziemi? A jakie plany w związku z tym, masz ty?

Ferdias pokuśtykał z powrotem do swojego krzesła, usiadł na nim, a potem bystrym wzrokiem popatrzył na niego.

— Kirk, w twoich żyłach płynie co najmniej połowa ziemskiej krwi. Powiedz mi, co czujesz w stosunku do Ziemi?

— Ale ja nigdy tam nie byłem. Przecież wiesz – urodziłem się na transportowcu, który wystartował z Arktura, i nigdy nie zawróciłem dalej niż na Procjona.

— Wiem. Ale co myślisz o Ziemi?

Kirk machnął ręką.

— A co tam jest do myślenia? To trzeciorzędna planetka, która, z tego co słyszałem, jest ważna tylko z tego powodu, że tam rozpoczęły się loty międzygwiezdne. Jej Rada Galaktyczna, próbowała scalić razem całą galaktykę pod jednym rządem, ale, oczywiście, okazało się to niemożliwe. Do diabła, wystarczająco trudno jest utrzymać w kupie jeden sektor, a co dopiero całą galaktykę.

— Ale Ziemia, oczywiście, nie jest jakimś tam jednym z sektorów — odparł Ferdias.

Kirk spojrzał na niego żywo:

— Oczywiście, że nie. Gubernatorzy Sektorów nie tykają Ziemi, małego sektora federalnego… — Przerwał. Po chwili zapytał: — A może robią to? Robią to, Ferdias?

— Solleremos chciałby to zrobić — wyjaśnił Ferdias.

Kirk był szczerze zdumiony.

— Mówisz, że on chce włączyć Ziemię do Sektora Oriona?

— Chciałby i to naprawdę bardzo — odparł jego rozmówca. — Posłuchaj, Kirk. Nacisk Solleremosa na nasze granice, stał się ostatnio pozorowany. To, czego on naprawdę chce, to Ziemia.

— Ale dlaczego? Ten nieistotny, mały układ gwiezdny…

— Czy naprawdę taki nieistotny? — Niebieskie oczy Ferdiasa stały się teraz gorące i leciały z nich skry, fascynując wręcz Kirka. — Materialnie, być może i tak – to wyeksploatowana, trzeciorzędna planeta. Ale pod względem psychologicznym, ta planeta jest naprawdę bardzo istotna. Pomyśl o ziemskiej krwi, zmieszanej obecnie z krwią ras w całej galaktyce – w tobie, we mnie, w połowie cywilizowanych ludzi! Pomyśl o ich uczuciach, być może nawet zupełnie nieświadomych, w stosunku do tej starej planety, której nigdy nawet nie widzieli na oczy! Nie znają jej już bezpośrednio, wiedzą, że jej Rada i Marynarka, to tylko mgliste cienie przeszłości – ale to ciągle jest Ziemia, to dawne centrum wszystkich rzeczy, dawna ojczysta planeta. Przypuśćmy, że jeden z Gubernatorów włączy Ziemię do swojego Sektora, a potem zacznie z niej przemawiać?

Kirk teraz to już rozumiał. Uświadomił sobie, nie pierwszy raz zresztą, że jeśli chodziło o galaktyczne intrygi, był dzieckiem we mgle.

Uczynienie z dawnego centrum galaktyki siedziby swoich rządów, dałoby każdemu z rywalizujących Gubernatorów kolosalną przewagę psychologiczną. Rozkazy nadchodzące z Ziemi, miałyby psychologiczną siłę oddziaływania, trudną do odparcia.

— Ale nie masz zamiaru pozwolić, aby Solleremosowi uszło to płazem? — zawołał.

— Nie, Kirk. Ja nie pragnę Ziemi. Ale też nie mogę pozwolić, aby zajął ją Sektor Oriona!

Mówił dalej.

— Solleremos wie, że będę próbował go powstrzymać. To dlatego pozwolił Tauncerowi, swojej prawej ręce, na zastawienie tej małej pułapki

na ciebie. Wiedzieli, że ci ufam. Mieli nadzieję, że powiedziałem ci, w jaki sposób planuję ich zablokować.

Kirk popatrzył przez chwilę na niego, a potem zapytał:

— A w jaki sposób masz zamiar ich powstrzymać?

Ferdias odparł:

— Na Ziemi odbędą się wkrótce wielkie uroczystości. Dwusetna rocznica pierwszego lotu kosmicznego z Ziemi. To wiele dla nich oznacza. Ich Rada zaprosiła mnie, abym przysłał oficjalną delegację mającą reprezentować Sektor Liry. A więc, wysyłam ciebie.

Kirk wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

— Mnie… na Ziemię? Ale co ja będę mógł zrobić, jeżeli…

Ferdias przerwał mu:

— Poleci z tobą Piąta Eskadra. Aby wziąć udział w widowisku ku czci, w przelocie.

Teraz Kirk zaczął rozumieć.

— A więc, jeśli Solleremos czegokolwiek spróbuje, Piąta będzie na niego czekać?

— Dokładnie. — W ustach Ferdiasa słowo to zabrzmiało jak kłapnięcie wilka. — Znam zamiary Solleremosa. Wiem mniej więcej kiedy planuje on przejęcie Ziemi. Sama Ziemia nie da rady go powstrzymać, nie z tymi swoimi małymi siłami. Ale Piąta, może!

Kirk czuł się lekko oszołomiony. Walki w skrytych wojnach granicznych pomiędzy rywalizującymi Gubernatorami, to jedna sprawa. Ale bitwa między Sektorami na pełną skalę, tam na Ziemi, było to coś zupełnie innego. To mogło wstrząsnąć galaktyką.

Ferdias kontynuował, omawiając rzeczowo szczegóły.

— Odlatujesz za pięć dni od dzisiaj. Możesz spędzić tam trochę czasu, weźmiesz więc pełne zapasy uzupełnień i transportowce.

Kirk uniósł wzrok. Transportowce oznaczały, że rodziny całego personelu mogły towarzyszyć eskadrze – a to oznaczało dalej, że mogła z nim polecieć Lyllin. Ucieszyło go to.

— Ale kiedy już tam będziemy — spytał, — oprócz brania udziału w tych uroczystościach, co jeszcze mamy robić?

Ferdias odparł:

— Poleć i obejrzyj sobie dom swoich przodków.

— Mój, co?

— Dom swoich przodków. Miejsce, z którego wywodzą się Kirkowie, tam na Ziemi. Kazałem go odnaleźć i ciągle jeszcze stoi. Znajduje się w Orville, to miejsce w pobliżu miasta Nowy Jork. Poleć tam i obejrzyj go sobie, to pierwszorzędna sprawa.

Kirk zaczął go rozumieć.

— Wyślesz mi tam rozkazy?

— Usłyszysz je ode mnie. I otrzymasz ostrzeżenie, jeśli Solleremos ruszy na Ziemię. Ale, Kirk – jeszcze jednak sprawa.

— Tak?

— Nie mów o tym nikomu. Nikomu.

Lecąc samochodem powietrznym przez miasto, w stronę domu, Kirk ledwie widział przemykającą w dole wspaniałą vegańską stolicę. Mocno się zamartwiał. Śmiertelnie niebezpieczna, sekretna galaktyczna walka zmierzała wyraźnie w stronę kryzysu, a on nie był człowiekiem nadającym się do zbrojnej konspiracji, nie był dobry w knuciu spisków i planów. Ale – w tym momencie skóra na szczęce mu się naciągnęła – jeśli Solleremos będzie próbował zająć Ziemię siłą, to Piąta była bardzo dobra w jednej rzeczy, a tą rzeczą była walka.

Nie mógł powiedzieć Lyllin o tym wszystkim, nie przy tym ścisłym rozkazie Ferdiasa. Ale przynajmniej tym razem mogła lecieć razem z nim, i to powinna być dla niej dobra wiadomość. Wkroczył niecierpliwie do metastopowego domku, w którym mieszkał. Jego tak znajome pokoje były chłodne i ciche. Znalazł Lyllin oczekującą go na tarasie.

Niebieskie słońce dotykało już wierzchołków wzgórz, a niebo było zalane purpurowym zmierzchem. Lyllin wyszła mu naprzeciw. Była czystą Veganką i tak wyglądała, jej skóra była jasnobeżowa, jak świeże złoto, zaś ciemniejsza burza jej włosów podchwytywała ten sam odcień, zmieniając go na miedziany. Ubrana była w sposób charakterystyczny dla swoich rodaków, w mgliście półprzezroczysty chiton, tak że jej piękne, smukłe ciało, zdawało się być okryte tylko skrawkiem zbliżającego się zmierzchu.

Wziął ją w ramiona, a potem przekazał jej nowiny, z zaskoczeniem stwierdzając, że nie wydaje się być nimi uszczęśliwiona.

— Lecieć na Ziemię? — wyszeptała. — Tylko z powodu rocznicy pierwszego lotu kosmicznego? To dziwne…

— Ale, tym razem będziesz ze mną — powiedział. — Nie podczas samej podróży – ty, oczywiście, polecisz transportowcem – ale na Ziemi przez cały czas naszego pobytu, będziemy ze sobą.

— Jak długo to potrwa, Kirk?

Nie wiedział i powiedział jej to. Twarz Lyllin lekko się zachmurzyła. Ale zachowała milczenie, do czasu ich późniejszej rozmowy jeszcze tej samej nocy, kiedy wróciła do tego tematu.

Wtedy to, nagle oświadczyła:

— Nie będzie mi się podobało, tam na Ziemi.

Kirk spytał ją wstrząśnięty:

— Ale dlaczego, na Boga? To przecież śmieszne. Nigdy jeszcze nie widziałaś tego miejsca i niewiele o nim wiesz…

— To miejsce należy do ciebie, do twoich rodaków. Nie do mnie. — Nie patrzyła na niego. — Ty będziesz tam w domu. Ale co oni tam pomyślą o mnie? Co ty będziesz myślał o mnie tam, pomiędzy swymi bliskimi?

Kirk odwrócił ją twarzą do siebie, szorstkimi i gniewnymi rękoma.

— Wstyd mi za ciebie. Jak w ogóle mogłaś o czymś takim pomyśleć… — Potrząsnął nią. — Posłuchaj. Ziemia nie znaczy dla mnie więcej niż dla ciebie. To tylko nazwa, miejsce gdzie akurat przypadkiem urodził się mój prapradziadek, pięć pokoleń wstecz. Płynie we mnie tyle samo krwi z innych planet, co z Ziemi. A, co do ciebie…

W kącikach jej oczu pojawiły się łzy. Wargi były miękkie i niepewne, jak u dziecka. Widząc to pocieszył ją, zupełnie odmiennym tonem.

— To nieistotne dokąd gdzie będziemy, ty zawsze będziesz Lyllin. A ja zawsze będę cię kochał.

Podeszła do niego bliżej, kryjąc się w kręgu jego ramion i pocałowała go z szaleńczą zaborczością. Jej wargi były gorzkie od tych nagłych łez.

Kirk czuł jednak, że nie udało mu się jej przekonać. Była dumną Veganką, i jeśli na Ziemi potraktują ją jak wybryk natury, jak obcą…

W głębiach swej duszy przeklął Solleremosa i jego ambitne plany. Z powodu troski, która się w nim pogłębiała. Niebezpieczeństwo które groziło Piątej, niebezpieczeństwo które eksploduje z całą mocą, jeżeli podjęta zostanie ta pozbawiona skrupułów próba zajęcia starej planety, nie było jedynym. Teraz już wyraźnie czuł, że poza tamtym, istniało inne, bardziej subtelne zagrożenie oczekujące na Ziemi na niego i na Lyllin.

IV

Eskadra wyszła z nadprzestrzeni, lecąc z normalną prędkością podejścia. Przed nimi w przestrzeni kosmicznej, widać było gwiazdę. W porównaniu do jasno płonących gigantów głębokiego kosmosu, nie była ona jakaś specjalnie wspaniała – zwykła, mała żółta gwiazda, wyglądająca raczej samotnie w wielkiej pustce. Kirk przyjrzał jej się uważnie. Słońce. Nie jakieś tam słońce, ale Słońce. Jak powinien się czuć wobec niego? Jak dziecko, widzące po raz pierwszy swojego ojca, czy jak człowiek wracający do swego pradawnego gniazda, które już dawno, dawno temu straciło dla niego jakiekolwiek znaczenie? Kirk przeszukał serce i nic tam nie znalazł. To była tylko jeszcze jedna gwiazda.

Garstang dotknął jego ramienia i wskazał gestem miejsce, w którym daleko od nich, płynęła im na spotkanie mała zielona planeta.

— Ziemia.

Eskadra pośpieszyła w jej kierunku, krążowniki, statki magazynowe, transportowe, mężczyźni, kobiety i dzieci, obcy z dalekich regionów galaktyki. A jednak również, nie tak do końca obcy, ponieważ nazwiska pochodzące z tej planety, ciągle były wśród nich, również tradycje, a nawet znaczna część krwi. Dwieście lat temu ich przodkowie ją opuścili. A oni teraz wracali.

Na mostku zapadła głęboka cisza. Kirk przypuszczał, że tak samo było w całej eskadrze, wszyscy wpatrywali się i snuli jakieś własne myśli. Zastanawiał się, co myśli w tej chwili Lyllin i żałował, że nie było jej u jego boku, zamiast gdzieś tam, na jednym z transportowców.

Ziemia była coraz bliżej. Widać było już chmury i białą połać czapy polarnej. Podlecieli jeszcze bliżej. Pojawiły się morza i zarysy kontynentów. Bardziej wyraźnie widać było kolory, a lądy zaczęły strzelać łańcuchami górskimi. Wyraźniejszą postać przyjęły wielkie jeziora, ciemnozielone obszary leśne oraz wijące się rzeki. Przyjemna planeta. Piękna planeta. Kirk nienawidził jej. Jej inna nazwa brzmiała Kłopoty.

— Dlaczego Ferdias akurat nas musiał wybrać do tej roboty?

Nieświadomie słowa te wypowiedział na głos, a przynajmniej na tyle głośno, że dotarły do uszu Garstanga.

— Przecież to tylko wizyta — powiedział Garstang. — Tylko uroczystości. Co w tym złego?

Jego ton był łagodny, bez śladu ironii.

Ale Kirk popatrzył na niego ostro. Zdawał sobie sprawę, że Garstang, Larned i wszyscy jego oficerowie i marynarze, musieli rozmawiać między sobą i zastanawiać się. Zastanawiać się, dlaczego zostali odesłani ze stanowiska, na którym byli potrzebni, na te raczej mało znaczące uroczystości.

Schodzili w dół, wzdłuż linii brzegowej niebiesko-zielonego oceanu, minęli miasto rozłożone na wyspach, półwyspach i w głąb lądu wzdłuż

dolin rzecznych, i pod nimi znalazł się wielki port kosmiczny. Eskadra z rykiem ruszyła do wyznaczonego jej miejsca lądowania, wspinając się na wyżyny swoich umiejętności, każdy statek lądował z mistrzowską precyzją. Na powitanie zebrał się spory tłum. Flagi trzepotały na wietrze. Ryknęła orkiestra dęta, mieszając się z potężnym, uroczystym rytmem bębnów.

Ludzie z piątej zeszli ze statków i uformowali się w szyk marszowy, wszystkie buty lśniły w słońcu, uniformy nieskazitelnie wyprasowane, ciągła niebiesko-srebrna kolumna, lśniąca w łagodnym blasku tej złotej gwiazdy. Kirk czuł jego ciepło na twarzy. Jego stopy pewnie stały na ziemi, a wiatr pieścił go delikatnie, pełen obcych mu woni. Pomyślał sobie, „To jest Ziemia.” Przyjrzał jej się dookoła.

Z tego miejsca mógł dojrzeć jedynie port kosmiczny i widział, że był stary, podniszczony i biedny. Płyta lądowiska była popękana i poczerniała, stare budynki okryte patyną czasu. Naprzeciw eskadry, rozstawionych było dwanaście krążowników ze starym godłem Marynarki Galaktycznej na dziobach, których załogi stały przed nimi na baczność. Te stare, małe statki – przecież to była Klasa Czternaście, przestarzała już od lat! Przypuszczał, że to wszystko, co miała Ziemia.

W jego stronę szło dwóch mężczyzn. Pierwszy z nich to cywil w średnim wieku, drugi, prosty jak świeca, starszy człowiek w czarnym mundurze, noszący również insygnia starej Marynarki. Sztywno odpowiedział na salut Kirka.

— Piękne lądowanie, panie komandorze — oznajmił. — Pierwszy admirał Laney, chciałbym powitać pańską eskadrę.

Z niedowierzaniem, Kirk uświadomił sobie, że stary admirał podtrzymywał pozory, iż Piąta Eskadra była ciągle częścią Marynarki.

To było tak niedorzeczne, że robiło się zabawne! Już od ponad wieku Marynarka Galaktyczna w rzeczywistości nie istniała. Jej dowództwo nie wysyłało żadnych rozkazów na zewnątrz, do eskadr pięciu Gubernatorów, podobnie jak i Rada nie ośmielała się wysyłać rozkazów do samych Gubernatorów. A tutaj ten stary oficer z Ziemi, twardo próbował, na oczach tłumu, zachowywać się tak, jak gdyby naprawdę był przełożonym Kirka.

Po chwili jednak, widząc lekko rozpaczliwy wyraz oczu Laneya, Kirk złagodniał. Pomimo wszystko, co to za różnica – to były jedynie pozory, a on poczuł współczucie dla tego starego wojaka, próbującego grać swoją rolę.

Zasalutował ponownie i zameldował:

— Piąta Eskadra, dowódca Kirk, melduje się na rozkaz, sir!

Wyraz wdzięczności i ulgi rozlał się na twarzy Laneya. Powiedział niepewnym głosem:

— Spocznij, panie komandorze. Proszę pozwolić mi przedstawić sobie, Przewodniczącego Rady, Johna Charterisa.

Charteris, siwiejący, energiczny, zaniepokojony człowiek, ciepło uścisnął mu dłonie. Natychmiast rozpoczął krótkie przemówienie do stojących w pobliżu kamer telewizyjnych.

— Witamy w domu jedną ze wspaniałych eskadr Marynarki Galaktycznej, która weźmie udział w naszych uroczystościach upamiętniających…

Kiedy przemowy, uściski rąk i pokazy orkiestr zakończyły się, Kirk wydał rozkaz, i jego ludzie rozeszli się. Podszedł do niego Lamed.

— Czy nasi ludzie mogą już zejść z okrętów?

Stary admirał powiedział do Kirka:

— Kwatery są przygotowane dla wszystkich.

Charteris dodał:

— Ale pan i pańska żona, musicie zostać moimi gośćmi.

Szli pomiędzy wyniosłymi, sięgającymi nieba statkami. Kobiety, dzieci i niemowlęta marynarzy z Piątej, zaczęły wychodzić z transportowców, a sprawni ziemscy oficerowie gładko przemieszczali je do samochodów, które miały odwieźć wszystkich do przydzielonych im kwater. Spoza ogrodzeń przyglądał się temu z zainteresowaniem tłum ludzi z Ziemi.

Nagle, po raz pierwszy, rodziny jego ludzi, zaczęły wyglądać w oczach Kirka nieco obco. Kobiety i dzieci pochodziły z tak wielu rozmaitych gwiezdnych ludów, o tak wielu rozmaitych sposobach mowy i ubioru. Z oburzeniem szukał rozbawienia na twarzach Ziemian, ale nie udało mu się go dostrzec.

Koło transportowca wymówił się i poszedł do kabiny Lyllin. Kiedy ją zobaczył, zatrzymał się jak wryty. Nigdy jej nie widział tak ubranej. Miała na sobie sukienkę w stylu ziemskim, o znakomitym kroju, w której wyglądała doskonale, w wyrafinowanym, inteligentnym sensie. Nadal nie wyglądała jak ziemska kobieta, nie z tą jej skórą, oczami i włosami. Ale efekt był oszałamiający i tak jej powiedział.

— Cieszę się, że wyglądam na dostatecznie cywilizowaną dla twoich rodaków — przycięła mu słodko Lyllin.

— Moich rodaków? — Kirk cofnął się sztywno. — A więc nadal nad tym rozmyślasz? No to, świetnie. Nie dość, że moja misja w tym miejscu jest już bardzo trudna, to moja żona ma ochotę grać przewrażliwioną i robić ją jeszcze trudniejszą.

Wyraz twarzy Lyllin zmienił się.

— Co za trudności? — Nie odpowiedział. Popatrzyła na niego przeciągle. — To coś niebezpiecznego, co?

— Powiedziałbym ci, gdyby to było coś, o czym mogę ci powiedzieć — odparł. — Przecież wiesz. Zapomnisz o tym? I zapomnij o tym pomyśle, że ci ludzie, to moi rodacy!

Wyszedł z nią ze statku i Lyllin przeszła przez wszystkie prezentacje, chłodna i dumna. Kirk na boku polecił Lamedowi:

— Dwudniowe urlopy dla całego personelu, z regularną rotacją. Urządzenia portowe zajmą się uzupełnieniami i tankowaniem.

Lamed chrząknął.

— Widziałem lepsze urządzenia na pięciorzędnych planetach. Bardzo stare. Ale, zobaczymy, co da się zrobić.

Samochód Charterisa zawiózł ich szeroką aleją do Nowego Jorku. Miasto miało dla Kirka dziwny, sztywny wygląd. Jego wysokie wieżowce cisnęły się razem, na tle zachodzącego słońca odbijając się grubymi, ciemnymi kształtami. Pomyślał, że to musi być przeludnione, zatłoczone miejsce, chociaż taras apartamentu Charterisa, położony wysoko ponad miriadami świateł, był całkiem miły.

Tego wieczora, odbyło się tam przyjęcie, z drinkami i kolejnymi przemowami, a większość rozmów dotyczyła Uroczystości. Politycy z Sektorów, była nienatrętnie pomijani. Kirk przez cały czas gryzł się i niepokoił tym wszystkim. Co robił Solleremos, gdzie były jego eskadry? Ferdias mówił, że kiedy ruszą, prześle mu ostrzeżenie, ale czy takie ostrzeżenie mogło nadejść na czas? Rano, stwierdził, że Charteris dziwnie się zmienił. Spoglądał na Kirka z dziwnie niepewnym wyrazem twarzy.

Kirk zaczął:

— Zanim poczynimy pewne ustalenia odnośnie uroczystości, chciałbym…

— Och, nie ma z tym żadnego pośpiechu — szybko odpowiedział mu Charteris. Potem zapytał nagle: — Czy wie pan, że Sektor Oriona także przyśle symboliczną eskadrę?

Natychmiast w mózgu Kirka rozdźwięczały się dzwonki alarmowe. Co stało za tym pytaniem? Czy Charteris słyszał o czymś, o czym on nie wiedział?

Odpowiedział wymijająco:

— No cóż, nie, nie wiedziałem. Ale pan powinien wiedzieć lepiej…

Charteris nadal patrzył na niego z takim samym niepewnym wyrazem twarzy, kiedy wyjaśnił:

— Oczywiście, wysłaliśmy zaproszenie do wzięcia udziału, również do Gubernatora Solleremosa. Ale niewątpliwie wkrótce usłyszymy wieści od niego.

Kirk myślał szybko: on się czegoś dowiedział – czegoś, czego nie chce mi powiedzieć! Ale czego? Czy Sektor Oriona już wyruszył, czy siły Orionidów miały przybyć na Ziemię pod przykrywką udziału w uroczystości, tak samo jak on?

Nie wydostanie z Charterisa żadnych informacji. Lepiej skontaktować się z Ferdiasem, tak szybko, jak to tylko możliwe. W końcu był jedynie komandorem marynarki wojennej i w tym kryzysie odczuwał olbrzymią potrzebę precyzyjnych rozkazów. Rozkazy te mógł otrzymać tylko na spotkaniu, na które kazał mu się udać Ferdias

Kirk oznajmił, niby to przypadkowo:

— Skoro już jestem na Ziemi, chciałbym obejrzeć znajdujący się tutaj dom moich przodków, a teraz byłoby na to trochę czasu Z tego co wiem, to jest na wsi, niezbyt daleko stąd. Gdybym mógł pożyczyć jakiś samochód…

Charteris wyglądał na zadowolonego, że może spełnić jego prośbę.

— Oczywiście. Sentymentalna pielgrzymka, w pewnym sensie? Zupełnie zrozumiałe…

Kirk zrezygnował z kierowcy. Ale do czasu, zanim on i Lyllin wydostali się z Nowego Jorku i pojechali na północ, prawie pożałował tej decyzji. To wydawało się wręcz śmieszne, że człowieka, który potrafił w nadprzestrzeni pilotować eskadrę przez pół galaktyki, przerażał ruch uliczny. Jednak nigdy specjalnie wiele nie prowadził, a już z pewnością nie po arteriach podobnych do tej wielkiej północnej alei. Na zatłoczonej Ziemi, podróżując na krótkich dystansach, ludzie najwyraźniej ciągle powszechnie używali samochodów naziemnych, tak więc ruch był duży, dopóki nie zjechał na podrzędną autostradę. Dopiero tam Kirk poczuł się znacznie swobodniej.

Powiedział wtedy Lyllin:

— Chciałbym ci wyjaśnić tę całą sprawę z domem przodków.

Lyllin, patrząc prosto przed siebie, odparła:

— Nic mi nie musisz wyjaśniać. To absolutnie naturalne, że chcesz się dowiedzieć, skąd pochodzą twoi bliscy.

— Czy przestaniesz zachowywać się jak kobieta i mnie wysłuchasz? — rzucił z gniewem. — Znowu jacyś moi bliscy. Dlaczego, u diabła, miałoby mnie obchodzić, gdzie żył mój pradziadek w którymś tam pokoleniu. Robię to, co rozkazał mi Ferdias. — Dodał jeszcze: — Miałem nie mówić ci nawet tego, ale nie za bardzo pasowało mi jechać na tą niby sentymentalną pielgrzymkę, bez ciebie.

Wyraz twarzy Lyllin, natychmiast się zmienił.

— A więc tam będzie czekać ktoś od Ferdiasa, żeby się z tobą potajemnie spotkać, czy o to chodzi? A ja miałam nic o tym nie wiedzieć?

— Zgadza się — przyznał. — Ferdias wydał wyraźne rozkazy, żebym nikomu nie mówił.

Pomyślał, że Lyllin jakoś wygląda na rozluźnioną.

— Nie dbam o to. Martwię się i chciałabym wiedzieć co się dzieje, ale jeśli nie możesz mi nic powiedzieć, to wszystko w porządku.

Nagle zrozumiał, że poczuła się rozluźniona, ponieważ dowiedziała się, że jego naprawdę nie obchodzą ziemscy przodkowie, że to była tylko wymówka.

Kirk sam czuł wielką ulgę, że jest w drodze do Orville, do starego domu, w którym powinien czekać na niego agent Ferdiasa, aby mu powiedzieć, co ma robić. W tym narastającym kryzysie, nie mógł przecież działać na ślepo! Jak najszybsze otrzymanie informacji o rozkazach, było skrajnie istotną rzeczą.

Zmienili wielką autostradę na spokojne, obsadzone drzewami, boczne drogi. Drogi te były stare i kręte, spokojnie wijące się wokół wzgórz, stawów, a nawet domów. Niektóre z tych domów były nowoczesnymi willami, ze stopów chromowych, ale inne były antycznymi kamiennymi domami, a raz, on i Lyllin oboje, aż krzyknęli ze zdziwienia, widząc bardzo stary dom, zbudowany w całości z drewna.

Tutaj, z dala od miasta, wszystko wyglądało na wiekowe. Kamienne płoty, nosiły na sobie mchy stuleci, strzelisty kościółek otulony był grubym płaszczem winorośli, stare pola, uprawiane były od wieków. Na polach,

automatyczne traktory bez kierowców, pieczołowicie zajmowały się swoją robotą, ale generalnie widać było niewiele jakiejś krzątaniny, aktywności. Kirk pomyślał sobie, że to stara, zmęczona planeta.

Ponad drogą przemknął jaskrawo upierzony ptak, i razem z Lyllin zaczęli dyskutować, co to było.

— Wydaje mi się, że to rudzik — z wątpieniem w głosie powiedział Kirk. — W szkole, kiedy byłem mały, mieliśmy stary ziemski wierszyk o rudziku. Nie wiedziałem wtedy, co to jest.

— Nie jest nawet w połowie tak wspaniały, jak ognisty ptak — stwierdziła Lyllin. — Ale jego czerwień, zieleń drzew i niebieskie niebo… To całkiem ładna planeta, na swój sposób.

W końcu zjechali z niewielkiego wzgórza, pokonali mostek nad strumieniem i znaleźli się w miasteczku Orville. Właściwie, to była tylko wioska, ze sklepami rozrzuconymi wokół dużego, pustego placu. Na jego środku był skwer ze skorodowanym pomnikiem żołnierza i ławkami, na których starsi ludzie siadywali sobie w słońcu.

Kirk zapytał o drogę stojącego przed sklepem sprzedawcę, pucołowatego mężczyznę, gapiącego się z otwartymi ustami na dwójkę przybyszów. Kirk nagle uświadomił sobie, jak dziwnie musieli wyglądać w tej małej, sennej, ziemskiej wiosce – on sam, w swoim niebiesko-srebrnym mundurze żeglarza kosmosu, o twarzy opalonej przez dalekie słońca, oraz Lyllin, której uroda naznaczona była cieniem obcości.

Cieszył się, kiedy wskazaną drogą, mogli już wyjechać z wioski. To była jeszcze bardziej kręta droga niż poprzednio. Krążyła sobie jak popadnie serpentynami wzdłuż zbocza płytkiej doliny, w której ładne farmy, pola i lasy spoczywały w ciszy delikatnego światła złotego słońca. Nie napotkali na drodze żadnych innych jadących samochodów, chociaż od czasu do czasu na niebieskim niebie szumiał przelatujący samochód powietrzny. Kirk liczył mijane domy i kiedy odliczył pięć, skręcił na podjazd i zatrzymał się przy budynku.

Dom był zbudowany z polnych kamieni, wiekowy. Brązowa przysadzista budowla, wyglądała na nieco zaniedbaną i opuszczoną. Trawa rosnąca od frontu pod dużymi, strzelistymi drzewami – jak oni je tutaj nazywali, sosny? – była wysoka i postrzępiona. Podjazd prowadził koło domu, dalej obok sadu sękatych drzew, ciężko zwieszających się pod ciężarem owoców, do wielkiej, starej stodoły. W obejściu nikogo nie było widać, nie było też śladu, by ktokolwiek tam był.

— Czy jesteś pewien, że to właściwe miejsce? — spytała Lyllin.

Skinął głową, zmierzając ku gankowi.

— To tutaj. Ferdias, kilka tygodni temu, kazał swojemu agentowi, aby to kupił, tak żebyśmy mieli spokojne miejsce do kontaktów. Ktoś tu powinien być.

Koło drzwi był przycisk dzwonka, ale nikt nie odpowiedział. Kirk pchnął drzwi. Otworzyły się i weszli do środka.

Weszli do pomieszczenia, jakiego nigdy wcześniej jeszcze nie widzieli. Ściany były z pomalowanego drewna, a nie plastiku. Meble także były drewniane i miały bardzo archaiczne kształty. Pomieszczenie, jak i cały dom, było ciche.

— Spójrz na to — powiedziała Lyllin z zaskoczeniem w głosie.

Dotknęła fotela, a fotel zaczął się kołysać w przód i w tył, na swojej podstawie.

— Myślałam, że to jakaś zabawka dla dzieci, ale wyraźnie nie jest zaprojektowana dla dziecka.

Pokręcił przecząco głową.

— Nie rozumiem tego. Nie rozumiem też, gdzie się podział agent Ferdiasa!

Zawołał, ale nie otrzymał odpowiedzi. Sprawdził wszystkie pokoje, ale nikogo nie było.

Kirk czuł narastający niepokój. Czy coś się stało z pieczołowicie przygotowywanymi planami Ferdiasa? Gdzie był agent Ferdiasa, gdzie był człowiek, który miał się z nim spotkać w tym sekretnym miejscu i przekazać mu informacje oraz rozkazy niezbędne do dalszego działania.

Przypuśćmy, że ten człowiek się nie pojawi – kto wtedy ma przekazać mu ostrzeżenie o ataku Solleremosa, jeśli Orion podejmie taką decyzję?

V

Kirk stał bezradnie, a jego konsternacja i niepokój powiększały się z każdą chwilą. I co teraz robić?

W końcu stwierdził.

— Będziemy musieli zaczekać. Człowiek Ferdiasa rychło powinien się tu pojawić.

— Chciałeś przez to powiedzieć – że może będziemy musieli tutaj zostać na noc? — spytała Lyllin. — Bez jedzenia, bez miejsca do spania…

— Lepiej się tu trochę rozejrzyjmy — odparł nieszczęśliwym głosem.

Stwierdzili, że na łóżkach leżą dosyć nowe koce. A w starych kredensach kuchennych było jedzenie w samopodgrzewających się, plastikowych opakowaniach.

— Damy radę — uznał. — Ale to jakaś piekielna sprawka.

Podczas gdy Lyllin zajęła się przygotowaniem dla nich kolacji, Kirk wyszedł na zewnątrz i niespokojnie chodził po całym obejściu. Zachwaszczone podwórze wychodziło na krzewiaste pola i pobliski las. Stara stodoła była pusta, a zabudowania gospodarcze zniszczone i opustoszałe.

Nie świadczyło to dobrze o Ziemi, jeśli była to reprezentacyjna próba. Wrócił do środka i pomógł Lyllin rozwiązać zagadkę antycznego zlewu. Nawet czerwieniejące światło zachodu słońca, wpadające przez okna, nie mogło sprawić, żeby stare drewniane ściany i zniszczone kredensy, wyglądały mniej obskurnie.

Powiedział to na głos i Lyllin uśmiechnęła się.

— Nie jest tak źle. Zjemy na zewnątrz, na ganku z tyłu domu – tam jest mniej pleśni.

Ganek nie był ekranowany i kiedy jedli, opadły ich spragnione przyjaźni owady. Całe zachodnie niebo płonęło czerwienią, wielkie bastiony purpurowych chmur rosły coraz wyżej. Pod zachodzącym słońcem, za polami, ciemno dumały sękate lasy.

Z wysokiej trawy bezgłośnie wyszło jakieś małe zwierzę i wpatrywało się w nich zielonkawymi oczyma.

— Co to jest, Kirk… jakieś dzikie stworzenie?

Popatrzył.

— To chyba kot, tak z pewnością. Jeden Ziemianin na Stardream ma coś takiego jako zwierzę domowe, zostawił go w bazie. Nazywał go Tom. — Rzucił na stopnie kawałek jedzenia. — Masz, Tom.

Kot ostrożnie podszedł dumnym krokiem, spoglądając na nich zimno, a potem schylił się nad jedzeniem. Po chwili, odwrócił się do nich plecami i odszedł.

Zapadła ciemność. Kirk zaczynał odczuwać lekką desperację. Człowiek Ferdiasa nadal się nie pojawiał. A co, jeśli w ogóle nie przyjdzie? Jak długo

mieli czekać tutaj, w tym zapomnianym przez Boga miejscu, nie wiedząc co się dzieje w głębokim kosmosie?

Lyllin spytała:

— A może ten twój człowiek czeka na ciebie we wiosce, w Orville – i nie wie, że przyjechałeś?

— To możliwe, jak sądzę. — Kirk schwycił się brzytwy. — Pojadę do wsi. Jeżeli tam jest, to mnie zobaczy. Może ty poczekasz w domu – tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś pojawił się tutaj?

Odpowiedziała, żeby się nie przejmował. Ale wyciągnął z kieszeni płaszcza kompaktowy paralizator i zostawił go jej przed wyjściem.

Kirk jechał szybko pustą, ciemną drogą do wioski. Ale kiedy tam się już dostał, niewielka mieścina także wyglądała pusto i ciemno. Niemal wszystkie sklepy były już zamknięte. Widział jedynie paru ludzi. Panowała kompletna cisza. W ciemnościach panujących na placu, sztywno stał wyprostowany stary żelazny żołnierz.

Oko Kirka przyciągnęły światła tawerny i ruszył w jej kierunku. Wydawało się to być jedyne miejsce, gdzie mógłby spotkać swojego człowieka, a i tak potrzebował drinka. Pchnął ramieniem drzwi, wszedł do środka, gdzie natychmiast umilkł cichy szmer rozmów i zapadła cisza. Kirk podszedł do baru, podczas gdy ludzie z drugiego końca sali wodzili za nim wzrokiem. Barman, zaaferowany szczupły człowiek, pośpieszył do niego, starając się zachowywać tak, jakby wizyta komandora marynarki z dalekiego kosmosu, nie była absolutnie niczym niezwykłym.

— Tak, proszę pana, co pan sobie życzy?

Oczy Kirka prześledziły półkę nieznanych mu butelek. Pokręcił głową:

— Niech pan wybierze. Coś mocnego i szybkiego.

— Tak, proszę pana, odrobinę doskonałej starej whisky, proszę bardzo.

Whisky, no cóż, przynajmniej o tym słyszał. Pił ją zresztą kiedyś i nie smakowała mu. Przesunął spojrzenie na pozostałych ludzi. Czy któryś z nich mógłby być agentem Ferdiasa?

Nie wydawało mu się. Większość z tych ludzi wyglądała jak farmerzy lub mechanicy, kordialnie wyglądający, opaleni mężczyźni, młodsi – wysocy i nieco szczuplejsi. Jeden z nich bardzo stary człowiek, z długą, rozwidloną brodą, gapił się bezwstydnie na Kirka, ciekawskimi, paciorkowatymi oczyma. Nie byli nieprzyjaźni, ale zachowywali się powściągliwie. Kirk uważał, że ci tutaj do niczego mu się nie przydadzą. Równie dobrze może stąd sobie od razu pójść – żaden z tych ludzi nie mógł być agentem Ferdiasa.

Jednak, kiedy odstawił swoją szklaneczkę, brodaty starzec pokuśtykał naprzód, przyglądając się mu inteligentnym i ciekawskim wzrokiem.

— To pan jest tym gościem, który dzisiaj pytał się o drogę do starego domu Kirków? — spytał, niemal oskarżycielskim tonem.

Kirk skinął głową.

— Zgadza się.

Stary Ziemian wyraźnie czekał na wyjaśnienia. Kirkowi przyszło do głowy, że lepiej ich udzielić, jeżeli nie chce, by cała ta wiocha zaczęła głośno rozprawiać o tym, po co przyjechał tutaj ten człowiek z kosmosu.

Powiedział więc:

— Ja również nazywam się Kirk. Mój pra-pra, i tak dalej, dziadek, bardzo dawno temu, wyjechał stąd. Po prostu przyjechałem obejrzeć sobie stary dom, i to wszystko.

Potem odwrócił się, żeby wyjść, czując, że marnuje tutaj swój czas. Ale jeden z Ziemian w średnim wieku, podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

— Przecież jeśli twoi bliscy pochodzili stąd, to jesteś również w pewnym sensie chłopcem z Orville, co nie? Co o tym sądzisz! Nazywam się Vinson, kapitanie.

— Komandorze — poprawił Kirk, kiedy ściskali sobie dłonie. — Miło mi cię poznać. Teraz jednak muszę już iść.

— Nie puścimy cię stąd, nie stawiając kolejki — zahuczał Vinson. — Nie co dzień jeden z naszych chłopców wraca z tak daleka.

Rozległ się chór zgody, pojawiły się kolejne wyciągnięte ręce i serdeczne prezentacje. Kirk wpatrywał się w niech ze zdziwieniem. Co się u diabła… Potem zrozumiał.

W całym kosmosie duma Ziemian była wręcz przysłowiowa, tak samo jak i klanowość. Miał z tym do czynienia i nie podobało mu się to. Dlatego więc teraz był tak bardzo zdumiony, że tak nagle zaakceptowali go jako jednego ze swoich. Siedem pokoleń i cała szerokość galaktyki między nim a tym miejscem, a oni nazwali go „jednym z naszych chłopców”!

Chciał już stąd wyjść, nie znalazł tu nawet śladu agenta Ferdiasa, a czas mijał, ale nie było łatwo wydostać się z tego zamętu. Coraz więcej ludzi schodziło się do tawerny, w miarę jak rozchodziły się wieści, aby uścisnąć rękę i postawić drinka „chłopcu z Orville” z drugiego końca kosmosu. Vinson, jowialny mistrz ceremonii, wyrzucał z siebie prezentacje, które Kirk jedynie na wpół słyszał…

— Jim Barnes, jego farma jest tuż za domem twojej rodziny.

— A to stary Pete Marly, on może nawet pamiętać czasy, kiedy ciągle jeszcze Kirkowie tam mieszkali.

I tak dalej, i tak dalej, aż do chwili kiedy zdesperowany Kirk podziękował wszystkim i zaczął przepychać się do wyjścia.

— Muszę już wracać, żona na mnie czeka — powiedział i chór przyjaznych głosów pożegnał go na dobranoc.

— Pojadę z tobą, do mojego domu, to po drodze — wprosił się Vinson.

Wyjeżdżając z wioski, Kirk złościł się na siebie. Co za pomysł, tak prowadzić tajne operacje, że aż cała wioska wywrzaskuje jego nazwisko! A w dodatku nic mu to nie dało…

Dom Vinsona był drugim, przy tej samej drodze.

— Twój powrót z tak daleka, z pewnością wszystko przebija. Pokazuje, jaki ten świat jest mały.

— Jaka to mała galaktyka — dorzucił Kirk, i Vinson skinął głową.

— No pewnie. No cóż, jeszcze się zobaczymy. Wpadnij kiedyś. Dobranoc.

Kiedy Kirk jechał dalej, lekko zaskoczył go potok żółtego światła, który otaczał kształty rosnących przed nim pochylonych drzew. Na niebo wzeszła wielka połać srebra. Wtedy sobie przypomniał – to był księżyc, który mijali po drodze na planetę.

Księżyc Ziemi, „Księżyc” ze starych ziemskich poematów, które ludzie ciągle jeszcze czytali. Nie był zbyt imponujący, ale całkiem ładny. Jakżeż jednak nitki tego wszystkiego co się czytało i czego się słuchało, biegły subtelnie wstecz, do tej starej planety. Przypuszczał, że niektóre z kwiatów, których zapachy dało się wyczuć w ciepłym nocnym powietrzu, nazywały się „róże”. Zabawne, jak wiele się wie o Ziemi, nawet nie uświadamiając sobie tego, że się to wie.

Stara szosa błyszczała w świetle księżyca. Podniósł wzrok na usiane gwiazdami niebo. Czy tamten Kirk, jego pradziadek w siódmym pokoleniu, także spoglądał na gwiaździste niebo, kiedy wędrował po tej drodze? Pewnie tak. Patrzył za długo i w końcu sam wyruszył w to niebo, aby nigdy z niego nie wrócić.

Kiedy skręcił na podjazd, dom był ciemny, ale zauważył rozmytą postać Lyllin siedzącą na frontowym ganku.

— Nie. Nikogo nie było — poinformowała go, kiedy usiadł koło niej.

— We wsi też ani śladu agenta Ferdiasa — dodał Kirk. — No to pięknie. Będziemy musieli poczekać.

Siedzieli przez chwilę w miękkiej, ciepłej ciemności. Myśli Kirka stawały się coraz bardziej ponure. Nie mogli czekać tu w nieskończoność, a przecież musiał nawiązać kontakt, tak jak rozkazał mu Ferdias…

Dziwne, jasne, małe iskierki światła przepłynęły mu przed oczyma i w tej samej chwili uświadomił sobie, że całe ciemne podwórko i lasy aż roją się od tych latających iskierek. Skręcały w lewo i w prawo, w sposób, jakiego jeszcze nigdy nie widział, tańcząc i wirując pod ciemnymi drzewami.

— Co to jest? — spytała zafascynowana Lyllin.

— Świetliki? — niepewnie odparł Kirk. — Pamiętam skądś to słowo…

Wtedy niespodziewanie podskoczył i zawołał:

— Co, u diabła…

Na kolana nagle skoczyło mu małe, giętkie ciało. Para zielonych oczu spoglądała na niego wyzywająco. To był kot.

— Musi być bardzo oswojony — stwierdziła Lyllin. — Pewnie ktoś go trzyma w domu.

— Prawdopodobnie należał do ostatnich ludzi, którzy tutaj mieszkali — zasugerował Kirk. — Jest oswojony, nie bój się.

Zaczął go klepać po futrzastym grzbiecie. Kot zamknął oczy i wydał z siebie chrapliwy, mruczący odgłos.

— Lubisz to, co, Tom?

W odpowiedzi, Tom rozłożył się wygodnie. Lyllin wyciągnęła rękę, by go pogłaskać po głowie.

Z niezwykłą szybkością kot cofnął się spod jej ręki i zeskoczył z kolan Kirka. Jego zielone oczy spoglądały do tyłu na nich, kiedy ruszył przez trawę.

Kirk odwrócił się, roześmiany.

— Co za zwariowany mały stworek… — Nagle przestał. — Lyllin, co się stało?

Płakała, a przecież tak rzadko widywał jej łzy.

— Podrapał cię?

— Nie. Ale bał się mnie i nienawidził — odparła. — Ponieważ wiedział, że jestem obca.

Kirk próbował ją pocieszyć:

— Głupstwa mówisz. To nieszczęsne zwierzę, po prostu boi się obcych ludzi.

— Ciebie się nie bał. Wyczuł, że ja jestem inna…

Otoczył ją ręką, w myślach przeklinając Toma. Potem jednak, gniewnie spoglądając za kotem, Kirk zesztywniał.

Tom ruszył przez gęstą trawę, zmierzając w kierunku znajdujących się niedaleko ciemnych krzaków. Po chwili jednak kot stanął. Kiedy Kirk mu się przyglądał, Tom nagle wydał z siebie głośny syk i cofnął się. Długimi, szybkimi susami, uciekł daleko od ciemnej kępy.

Myśli w głowie Kirka zaczęły galopować. Kot cofnął się od tej kępy, dokładnie tak samo, jak cofnął się przed Lyllin. Może z tego samego powodu? Dlatego, że ktoś obcy, nie pochodzący z Ziemi, krył się w tych ciemnościach? Wydawało mu się, że usłyszał lekki szmer i wszystkie jego mięśnie natychmiast się naprężyły. Agent Ferdiasa nie podchodziłby tak skrycie. Nie-Ziemianin, czający się w tych cieniach, to mogło oznaczać tylko jedno.

Głośno powiedział:

— Chodź do domu i zapomnij już o tym, Lyllin. Mam ochotę na jeszcze jednego drinka.

Ale natychmiast, kiedy tylko weszli do domu, Kirk rzucił się do najbliższej sypialni i złapał leżące tam koce. Z gorączkową szybkością, rzucił jeden z koców Lyllin.

— Owiń go sobie wokół głowy – szybko!

Była inteligentną kobietą. Ale nie była przyzwyczajona do wykonywania rozkazów, natychmiast i bez dyskusji.

— Kirk, co…

Wyrwał koc z jej dłoni i zaczął owijać go wielokrotnie wokół głowy Lyllin, jednocześnie wyjaśniając jej szeptem.

— Tam na dworze. Ktoś jest. Jeżeli chcą to zrobić po cichu, na pewno użyją sonicznych promieni obezwładniających. Pośpiesz się…

Pociągnął ją na podłogę. Umocował jej koc na głowie. Drugim zaczął obwiązywać swoją, warstwa za warstwą. Potem oboje leżeli w napięciu, czekając.

Nic się nie działo.

Pomyślał sobie, że głupio będą wyglądać, leżąc tak na podłodze z owiniętymi głowami, jeżeli nic się nie stanie.

Nadal jednak nie ruszał się. Czekał.

Z tyłu domu dobiegła seria cichych odgłosów, ledwie słyszalnych przez grube warstwy koca. Dzwonienie okien, trzaski i grzechotanie wiązki sonicznej, brzęk naczyń.

Odgłosy te pełzły powoli przez dom, zmierzając w ich stronę. Stukot, grzechot – leniwie przesuwające się coraz bliżej. Wiedział już, że jego domysły były słuszne. Same promienie soniczne miały zbyt niską częstotliwość, aby można było je usłyszeć. Ale wyraźnie przeczesywały one dom.

Trafiły w nich. Lyllin poruszyła się nagle, ze zduszonym okrzykiem, i Kirk złapał ją za ramię, przyciskając ją do podłogi. Wiedział jak się czuła. Teraz poczuł to również i on, nagły potworny zawrót głowy, przeszywający ostro cały mózg. Nawet przez grube zwoje koca, promień dawał się wyczuć. Bez żadnej ochrony, już by leżeli nieprzytomni.

Wstrząs mijał. Wiązka przesuwała się na przód domu. Kirk pozostał na podłodze, jego ręka nadal przytrzymywała ramię Lyllin. Sam też kiedyś używał już promieni sonicznych. Wiedział więc całkiem dobrze jak powinno się to robić.

Miał rację. Lekkie, na wpół słyszalne odgłosy wzbudzane przez wiązkę w domu, drżenie wszystkiego co w nim było, stopniowo wędrowało z powrotem w ich stronę.

Stukot-brzęk. Grzechot-brzęk…

Uderzyło w nich ponownie, zacisnął zęby i wytrzymał. I znowu minęło i ruszyło przez kuchnię, brzęcząc wszystkimi naczyniami.

Kirk nagle pomyślał o niczego nie podejrzewających ludziach z Ziemi na pobliskich farmach, śpiących spokojnie w swoich starodawnych domach, nawet w najgorszych koszmarach nie myśląc o tym, że w ich spokojnej wsi obcy ludzie z gwiazd zwarli się ze sobą w potajemnej walce, w której ceną była cała ich antyczna planeta.

Odgłosy nagle się urwały. Kirk odwinął głowę i skrzywieniem ust pokazał Lyllin, by zrobiła to samo. Ostrzegawczo kiwnął jej ręką, aby nie wstawała, zaś sam przeczołgał się do starego salonu. Po chwili miał już w ręku mały obezwładniacz.

Zaczekał w narożniku salonu, chowając się za groteskowo starym stołem. Zapanowała zupełna cisza.

W pewnej chwili coś usłyszał. Odgłosy kroków na ganku – zbliżające się szybko i pewnie do drzwi.

Do pokoju wszedł mężczyzna. Miał na sobie ciemną kosmiczną kurtkę i luźne spodnie, w ręku trzymał obezwładniacz. Szedł miękko i sprężyście, jak tańcząca pantera.

Kirk znał go.

Nazywał się Tauncer.

VI

Za Tauncerem wszedł jakiś starszy mężczyzna, równie siwy, solidny i kanciasty w kształtach, jak stara cegła. Wyglądał trochę na Ziemianina i pewnie nim był. Obładowany był porto, a jakiś inny element wyposażenia, schowany w tornistrze, wisiał mu na ramionach.

Nie chcąc podejmować żadnego ryzyka, ale przy okazji odczuwając głęboką i złośliwą przyjemność, Kirk zaczął strzelać zza stołu.

Nawet w tej sytuacji, ostrzeżony przez jakiś cichutki szelest lub może tylko przez instynkt drapieżnika, Tauncer odwrócił się w jego stronę, tuż przed trafieniem przez wyładowanie energii. Nie miał jednak już czasu na to aby samemu wystrzelić. Impet obrotu rzucił go na sam środek pokoju, gdzie jak długi upadł na podłogę.

Przypominający cegłę mężczyzna był wolniejszy. Zdołał tylko otworzyć usta i unieść rękę na wpół drogi do swojej kabury, kiedy drugi strzał Kirka uciszył go tam gdzie stał.

Kirk wstał. Stwierdził, że cały się trzęsie. Popatrzył na leżącego Tauncera i pomyślał sobie, jak łatwo zabić człowieka, wygiął palce w nienasycony sposób. W otwartych drzwiach stanęła Lyllin i zbeształ ją gniewnie:

— Miałaś zostać tam, z tyłu.

Nie spuszczała z oczu jego twarzy. Wyszeptała:

— Tak. Źle zrobiłam.

Potem, patrząc na leżące ciała:

— Czy oni nie żyją?

— Nie jesteśmy na rubieżach sektora — warknął Kirk. — Szkoda, że nie. Ale na tej starej planecie, przemoc traktowana jest bardzo poważnie. Nie, tylko poczęstowałem ich wyładowaniami paraliżującymi.

Zaczął przeszukiwać dom, aż znalazł kłąb drutu i bardzo dokładnie związał za plecami ręce obu mężczyzn. Potem obszukał ich. Nie mieli żadnych dokumentów, co nie było dla niego specjalną niespodzianką. Zabrał podobnemu do cegły mężczyźnie obezwładniacz, usunął też poza jego zasięg porto i ciężki tornister.

Tornister zawierał vera-emiter, ze złożonym trójnożnym statywem. Niewykluczone, że ten sam, który Tauncer próbował na nim użyć na planecie w gromadzie gwiezdnej. Zdaje się, że Tauncer uwielbiał korzystać z vera-emitera. Prawdopodobnie, w swoich interesach, nie ruszał się nigdzie bez niego.

Dał Lyllin obezwładniacz, który upuścił Tauncer.

— Pilnuj ich. Za chwilę wracam.

Wyszedł na dwór i szybko, uważnie przeszukał teren starego gospodarstwa. Znalazł urządzenie soniczne stojące za krzakiem. Przez kilka chwil stał koło niego, nasłuchując, ale nie było słychać niczego, poza lekkimi poszumami wiatru. Nie wyglądało na to, aby ktoś tu jeszcze był.

Tauncer i Ziemianin musieli pojawić się tu sami. Kirk zmarszczył brwi. Podniósł urządzenie soniczne i stał tam jeszcze przez kilka sekund, zaniepokojony, ale także zdziwiony. Nie było nigdzie widać samochodu powietrznego. Musieli wylądować gdzieś dużo dalej, w głębi lasu, żeby nie zdradzić się hałasem silników. Ale nie mógł przecież przeszukać całego lasu, nie dzisiejszej nocy.

Wrócił do domu.

— Oni zbierają się tu dookoła — oznajmiła Lyllin. Siedziała w fotelu na biegunach, przed dwoma związanymi mężczyznami, nie spuszczając z nich wzroku. Kołysała się rytmicznie do przodu i do tyłu, wywołując poskrzypywanie desek starej podłogi. — Popatrz — powiedziała, nieco zbyt piskliwym głosem. — Odkryłam przynajmniej, do czego jest ten dziwny fotel. To całkiem przyjemne.

— A ja tak nie uważam — nagle odezwał się Tauncer. — Irytuje mnie to skrzypienie. — Otworzył oczy, a Kirk odniósł wrażenie, że już od pewnego czasu trzymał je zamknięte tylko dlatego, żeby zorientować się w rozwoju sytuacji.

— No cóż — zwrócił się do Kirka. — Jestem znanym ekspertem w użyciu wiązki sonicznej. Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak pan to zrobił?

Kirk odparł:

— Zostaliśmy ostrzeżeni – przez jednego z moich przyjaciół o imieniu Tom. — Pokazał ręką Lyllin, by wstała. — Wyjdź do innego pokoju, kochanie. Nie wydaje mi się, żeby ci się to podobało.

Popatrzyła na niego, jakby spotkała go po raz pierwszy w życiu i nie była pewna, czy go lubiła.

— Spróbuj zrozumieć — poprosił. — Nie robię tego rodzaju rzeczy na codzień. To rzadko kiedy bywa niezbędne.

— Oczywiście — odparła. Wyszła do drugiego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Wtedy usiadł w bujanym fotelu, trzymając w ręku gotowy do strzału obezwładniacz.

Kirk popatrzył na Tauncera.

— Jestem pokojowo nastawionym człowiekiem — zaczął, — odwiedzającym dom swoich przodków. Czego ode mnie chcecie?

Tauncer uśmiechnął się. Było w nim coś takiego, że Kirk z każą chwilą czuł się coraz bardziej nieswojo – agent Solleremosa zupełnie się nie przejmował, emanował głęboką pewnością siebie, która zupełnie nie pasowała do człowieka w jego sytuacji.

Tauncer odpowiedział łagodnie.

— Jest pan dowódcą Piątej Eskadry z Sektora Liry, oczekuje pan na rozkazy od pańskiego Gubernatora. Traci pan czas.

Nerwy Kirka boleśnie się zacisnęły, ale utrzymywał niewzruszony wyraz twarzy.

— Proszę dalej — zachęcił, — słucham z najwyższą uwagą.

— Agent Ferdiasa miał się tutaj potajemnie spotkać z panem, aby przekazać panu pewną… informację. — Tauncer mówił z widoczną

starannością, jak ktoś, kto wyjaśnia jakiś problem dziecku. — On się tu nie pojawi. Już od jakiegoś czasu wiedzieliśmy kim był. Złapałem go, zanim jeszcze wyjechał z Nowego Jorku. — Skinął głową w stronę vera-emitera, stojącego po drugiej stronie pokoju. — Użyłem na nim tego ekstremalnie użytecznego wynalazku, i oczywiście powiedział mi wszystko o tym miejscu, oraz że ma się tutaj z panem spotkać. A więc, przybyłem zamiast niego.

Kirk popatrzył na vera-emiter, ale Tauncer pokręcił przecząco głową.

— To nic panu nie da. Ta szczególna informacja, której pan potrzebuje, mianowicie kiedy i gdzie wkroczyć do akcji – nie jest mi znana, a pański kontakt także jej jeszcze nie otrzymał. Kiedy już zostanie przekazana, odbierze ją jeden z czterech naszych ludzi – prawdopodobnie już ją ma.

Oczy Tauncera spoglądały jasno na Kirka, oczy zręcznego i przebiegłego człowieka, mierzące uczciwego niezdarę, aby zgotować mu kolejną klęskę.

— Równie dobrze może mnie pan uwolnić, Kirk. To była dobra próba, ale pańska sytuacja w tej chwili jest beznadziejna.

— Nie, dopóki trzymam się na nogach — odparł Kirk, wstając. Był w tej chwili po prostu wściekły. — Nie, dopóki mam za sobą Piątą. Jeżeli nie otrzymam rozkazów, zorganizuję wszystko po swojemu.

— Nie — zabrzmiał za nim znajomy głos. — Piąta nie pójdzie za tobą, komandorze.

Kirk odwrócił się w drugą stronę.

We frontowych drzwiach stał Joe Garstang. W ręku trzymał obezwładniacz, wycelowany z kamienną stanowczością w pierś Kirka.

— Rzuć broń — polecił Garstang.

Czerwona mgła zaciemniła mu wzrok. Widział przez nią Garstanga, ale falującego i zniekształconego. Krew huczała mu w skroniach.

— Ty — wykrztusił, przez dławiącą go wściekłość tak olbrzymią, że ledwie mógł wypowiadać słowa. — Mój własny kapitan flagowy. Mój przyjaciel. Zdrajca. Pracujesz dla niego…

Daleka i dziwacznie wyglądająca w czerwonej mgle twarz Garstanga nagle wykręciła się, jakby z bólu.

— Bardzo mi przykro — powiedział i strzelił.

Kirk upadł na podłogę. Garstang musiał nacisnąć spust tylko na najlżejsze wyładowanie, ponieważ Kirk nie stracił przytomności i był tylko częściowo sparaliżowany. Broń wypadła mu z pozbawionych czucia palców.

Garstang podszedł i odkopnął ją dalej., Kirk klapał po podłodze jak wyciągnięta na brzeg ryba, próbując przywrócić czucie w ciele. Słyszał jak otwierają się wewnętrzne drzwi, a potem krzyk Lyllin, częściowo ze strachu, ale w większości z furii, czysto zwierzęcy wrzask. Szła na Garstanga, nie zważając na trzymany przez niego obezwładniacz, mając w głowie tylko jedno – zabić. Jej dłonie były puste. Nie potrzebowała niczego poza nimi.

Garstang schował broń do kieszeni i złapał ją, trzymając jej ręce z dala od swej twarzy i oczu.

— Proszę — powiedział. — Proszę, Lyllin. On nie jest martwy, nawet nie jest ranny. — Zwrócił się do Kirka. — Trzeba było rzucić swój obezwładniacz. Mówiłem ci. — Nastąpił kolejny atak i na policzku Garstanga wyskoczyła czerwona kreska. Zaczęły z niej powoli spływać małe kropelki, wyglądające jasno na brązowej skórze. — Kirk, na miłość Boską przemów jej do rozsądku — poprosił.

Kirk wreszcie zdołał usiąść. Coś wymamrotał, wstrząsnął głową dwa lub trzy razy, aż w końcu jego słowa stały się zrozumiałe.

— Ze mną wszystko dobrze. Chodź tu, Lyllin. Pomóż mi wstać.

Wtedy się odprężyła i opuściła ręce. Garstang puścił ją. Syknęła na niego z vegańską wściekłością i podbiegła do Kirka.

— Powinnam użyć mojej broni — powiedziała. — Powinnam go zabić. Zapomniałam o niej. Przepraszam. — Zaczęła się siłować, próbując go podnieść.

Garstang natychmiast poszedł do drugiego pokoju. Przez otwarte drzwi Kirk zobaczył, jak rozgląda się dookoła, a potem chowa do kieszeni obezwładniacz, który odłożyła i zapomniała Lyllin. Lyllin tego nie widziała, a on nic jej nie powiedział. Co by to dało?

— Przesuń ten fotel tutaj — powiedział Kirk. — Nie przejmuj się, to niedługo minie. Za kilka minut, będę już absolutnie w porządku. Tak. O to mi chodziło.

Usiadł w fotelu na biegunach, rozcierając odrętwiałą prawą rękę, lewą, próbował tupać nogami, ale nie mógł jeszcze nimi poruszać. Patrzył z wściekłością na Garstanga, który przyszedł już z powrotem i stał niedaleko Tauncera, wodząc wzrokiem od niego do Kirka, lekko marszcząc brwi.

Tauncer nie odezwał się wcześniej i teraz też nic nie mówił. Siedział na swoim miejscu, czekał i wszystko obserwował.

— No, dobrze — zadrwił Kirk. — Na co czekasz Joe? Idź i go rozwiąż.

— Nie — odparł Garstang, powoli kręcąc głową. — Nie, nie mam zamiaru go rozwiązywać.

— A czemuż to nie? — gorzko dopytywał się Kirk. — Chyba, że jego także zdecydowałeś się wystawić do wiatru.

— Nie wydaje mi się, żebyś rozumiał sytuację — oznajmił Garstang. — Ja nie pracuję dla Tauncera. Ja w ogóle nie pracuję dla Solleremosa.

Kirk przez chwilę wpatrywał się w niego. Zaskoczenie wyrwało go z wściekłości.

— A więc, dla kogo…

— Moja lojalność — wyjaśnił Garstang, — należy do Ziemi.

— Och, do diabła, to nie ma sensu — odparł Kirk. — Jesteś nie bardziej Ziemianinem, niż ja…

— Jestem, Kirk. Ty tego nie wiedziałeś, ale ja jestem Ziemianinem. I od czternastu lat służę w ziemskim wywiadzie.

Garstang powoli mówił dalej:

— Ziemia może i jest stara oraz częściowo bezradna, ale nie jest aż tak ślepa, aby pozwolić pięciu potężnym, głodnym władzy Gubernatorom,

pozostawać bez nadzoru. Wiedzieliśmy o tej zbliżającej się napaści już od dłuższego czasu. Jedyną rzeczą, której nie wiedzieliśmy i nie byliśmy w stanie się dowiedzieć, było to, który z tej piątki spróbuje jako pierwszy. Teraz, myślę, że już wiemy.

— A więc, co wydaje ci się, że wiesz? — spytał Kirk.

Garstang popatrzył na niego twardo.

— Ferdias był jedynym Gubernatorem, który wysłał na Ziemię eskadrę na uroczystości rocznicowe. Dlaczego?

Kirk zawołał:

— Aby chronić Ziemię przed Solleremosem! To Orion ma zamiar spróbować ją zająć!

— Kirk, myślałem, że tak powiesz. Może nawet w to wierzysz. Ale spytaj się sam – jeżeli miałby to być prawda, dlaczego Ferdias nie ostrzegł nas otwarcie? Dlaczego kazał ci się przekradać na to potajemne spotkanie?

Garstang pokręcił przecząco głową.

— Nie, Kirk. Wydaje mi się, że jesteś uczciwym człowiekiem. I wydaje mi się, że musiałeś to zrobić. Wydaje mi się, że musiałeś to zrobić w całej rozciągłości.



VII

Kirk zaczął się śmiać. Śmiał się tak długo i mocno, że aż w oczach stanęły mu łzy wściekłości i desperacji.

— Chryste — wykrztusił. — Jeżeli wszyscy ziemscy agenci są tak samo bystrzy jak ty, Joe, niech Bóg wam dopomoże.

Wskazał ręką na Tauncera.

— Pozwól, że ci przedstawię. To jest Tauncer. Prawa ręka Solleremosa.

Garstang skinął głową.

— Wiem o tym.

— Dopiero co odparłem jego atak, a teraz muszę walczyć z tobą. Wspaniale. Do jasnej cholery, po prostu wspaniale! Posłuchaj, Joe. Piąta została tu wysłana przez Ferdiasa, żeby chronić Ziemię. Solleremos ma zaatakować…

— Kiedy — przerwał mu Garstang.

— Nie wiem. Miałem się tu spotkać z agentem Ferdiasa i odebrać od niego ostateczne rozkazy. Tauncer zajął się tym, by do tego spotkania nie doszło. Jak myślisz, dlaczego to zrobił? Jak myślisz, dlaczego tu przyleciał i mnie zaatakował? On…

Garstang zwrócił się do Tauncera:

— Tak — stwierdził. — Dlaczego pan to zrobił?

Tauncer odparł spokojnie:

— Ma pan całkowitą rację, panie Garstang. Ferdias planował zająć Ziemię. W Orionie wiedzieliśmy o tym. Musieliśmy się dowiedzieć kiedy i jak Ferdias chce tego dokonać – i na tym właśnie polegała moja misja. Próbowałem to zrobić wtedy, w gromadzie gwiezdnej. Próbowałem również tutaj, ale pan komandor za dobrze się pilnował.

— Kłamie pan — wycedził przez zęby Kirk. — Nie minęły jeszcze dwie minuty od tego, jak mówił mi pan, że nie dam rady powstrzymać Solleremosa przez zajęciem Ziemi. Lyllin, przecież słyszałaś to …

Lyllin wyszeptała:

— Bardzo mi przykro – ale odesłałeś mnie z pokoju. Pamiętasz?

Tauncer zwrócił się do Ziemianina:

— Harper powie panu, że nie kłamię. Słyszałeś każde słowo, co, Harper?

Ziemianin zmarszczył swoje pokryte bliznami policzki i oświadczył tonem szczerej uczciwości.

— Oczywiście, że słyszałem.

Kirk nie był jeszcze w stanie wstać i go zabić, albo Tauncera, a więc tylko zacisnął szczęki i próbował pomyśleć. Nie powinienem dawać się wciągnąć w wymianę słownych ciosów, uznał. Tego właśnie chce Tauncer. Im bardziej zaprzeczam i zaklinam się, tym gorzej wyglądam. Co w takim razie zrobić? Coś. Coś…

— … a więc mamy zamiar działać z zaskoczenia i rozbroić Piątą Eskadrę — mówił właśnie Garstang. — Charteris od początku coś podejrzewał, a to co mu powiedziałem zeszłej nocy, jeszcze te podejrzenia wzmogło. I…

— Rozbroić eskadrę? — zawołał Kirk. — Czyś ty zwariował? — Nagle przed oczyma stanęła mu koszmarna wizja przelatujących statków z Oriona, krążowników i transportowców Piątej znikających w burzy dymu i ognia, martwych ludzi spadających jak liście.

— Nie możemy podejmować żadnego ryzyka — oświadczył Garstang, zmierzając w stronę telefonu. — Ziemska Marynarka…

— Ha!

— Ziemska Marynarka — powtórzył Garstang, — jest już w pełnej gotowości.

— Solleremosa schrupie was na śniadanie — rzucił zapalczywie Kirk. — Garstang, nie bądź głupi. Nie obchodzi mnie jak wierny jesteś Ziemi, ale musisz przyznać, że jej marynarka nie wytrzyma w starciu z eskadrami Oriona nawet pięciu minut.

Garstang zawahał się. Twarz miał ponurą i smutną, a Kirk poczuł, że mu go żal pomimo swego gniewu. W końcu Garstang stwierdził:

— Zrobimy, co będziemy mogli. Będziemy walczyć z wrogiem, jeżeli ten nadejdzie, ale musimy być pewni, że nikt nie zada nam ciosu w plecy.

Podniósł słuchawkę telefonu. Błysk satysfakcji przebiegł przez twarz Tauncera. Kirk zauważył go i nagle spłynęło na niego olśnienie.

Zawołał klepiąc się w czoło:

— Ależ ze mnie idiota! Posłuchaj, Joe – odłóż tę słuchawkę. Mogę udowodnić to co powiedziałem, w trzy minuty. Jeżeli mi się nie uda – to proszę bardzo, dzwoń.

Garstang spoglądał na niego ze zmarszczonym czołem.

Wtrącił się Tauncer, wykazując w głosie pierwsze oznaki napięcia:

— No, dalej, Garstang. Niech pan nie pozwoli, żeby zrobił z pana głupca.

Kirk rzucił:

— Zamknij się. — Wstał i pokuśtykał do vera-emitera. — Joe, pomóż mi go przygotować. Tauncer użył go na agencie Ferdiasa, a potem chciał go użyć na mnie. A teraz zobaczymy, co dzięki temu urządzeniu wyciągniemy z niego.

Garstang podszedł do niego.

— Vera-emiter? Dlaczego wcześniej o nim nie wspomniałeś?

— Bo byłem za bardzo wściekły, żeby jasno myśleć — odparł Kirk.

Ustawili razem przyrząd, a Tauncer obserwował ich bez słowa. Ciągle jeszcze błysk strachu w jego oczach łagodzony był przez jakąś immanentną pewność siebie. Wydawał się nad czymś myśleć, bardzo intensywnie.

Garstang uruchomił emiter. Harper, pokryty bliznami Ziemianin, odchylił się od Tauncera tak daleko, jak tylko mógł. Za projektorem Kirk

nie czuł nic, ale przez twarz Tauncera przebiegł dreszcz męki, a potem rozluźniła się, a z jego oczu zniknął wyraz ostrej inteligencji i zrobiły się niewyraźne i rozproszone.

— Tauncer — rozpoczął Garstang. — Słyszy mnie pan?

— Tak.

— Czy Solleremos planuje zająć Ziemię dla swojego sektora?

Jakiś mglisty ślad bariery samokontroli zdawał się nadal istnieć w umyśle Tauncera, ponieważ po tym pytaniu nastąpiła długa przerwa i Garstang musiał je zadać jeszcze raz, ostrzejszym głosem. Ale kiedy w końcu padła odpowiedź, była absolutnie jasna.

— Tak.

Kirk popatrzył na Garstanga i policzki Garstanga poczerwieniały. Lyllin oznajmiła tryumfalnie:

— Widzisz?

— W porządku — odparł Garstang i ponownie zwrócił się do Tauncera: — W jaki sposób to zrobi?

— Bezpośrednim atakiem. Ziemskie siły kosmiczne są bez znaczenia. eskadra z Liry zostanie złapana na powierzchni, zdezorganizowana z powodu braku dowodzenia.

— Brak dowodzenia — powoli rzekł Kirk. Na jego twarzy pojawił się nagły niepokój. — Ma pan zamiar zatrzymać mnie i nie pozwolić na powrót do eskadry?

— Tak.

— Ale przecież nie tutaj, na tej farmie. Zbyt wielu ludzi wie, że tu jestem. Charteris, ludzie z miasteczka…

— O, nie — wyjaśnił Tauncer, — nie tutaj. Szybki statek zwiadowczy. Statek, którym przyleciałem na Ziemię przed pańską eskadrą. Czeka tuż poza zasięgiem radaru. Zabierze nas stąd wszystkich.

Teraz, pomyślał Kirk, już wiem dlaczego on jest taki pewny siebie. Przez cały ten czas planował dalsze posunięcia.

— Wysłał pan już wiadomość, na statek zwiadowczy?

— Tak — odparł Tauncer. — Przez porto, zaraz jak tylko przeczesałem wiązką pański dom. Byłem pewien, że jest pan nieprzytomny.

Garstang ostro rzucił ponad ramieniem Kirka.

— Kiedy ma wylądować?

Tauncer wykonał nieokreślony ruch, jakby próbując spojrzeć wokół ramienia, tak by móc zobaczyć swój zegarek. Garstang podpowiedział mu:

— Jest dokładnie dwie po jedenastej, czasu ziemskiego.

Wargi Tauncer poruszyły się:

— Przed północą — oznajmił. — Już niedługo.

Pomimo, że wydawał się być mocno oszołomiony, zdołał się uśmiechnąć.

Garstang powiedział do Kirka:

— Musisz w tej chwili się stąd wynosić, i to szybko!

Zaczął się pośpiesznie odwracać, jakby miał zamiar natychmiast wypchnąć jego i Lyllin z domu, ale Kirk przerwał mu:

— Nie, poczekaj. Pozwól mi pomyśleć.

Zwrócił się do Tauncera.

— Nie wie pan gdzie są eskadry Solleremosa, ani kiedy dokładnie uderzą?
— Nie.
— Ale przecież musi być jakiś sygnał, jakaś wiadomość, na którą czekają.
— Tak — przyznał Tauncer. — Sygnałem ma być start statku zwiadowczego. Oznaczałoby to, że schwytaliśmy komandora. Co z kolei oznaczałoby zamieszanie w eskadrze z Liry.
Garstang pociągnął Kirka za rękaw.
— Chodź.
— Ale — powiedział Kirk do Tauncera, — przypuśćmy, że załoga statku zwiadowczego nie znajdzie tutaj nikogo.
— Wszystko jedno. Będą wtedy wiedzieli, że poniosłem porażkę i nasze plany mogły zostać ujawnione. Oznacza to natychmiastowe wydanie rozkazu błyskawicznego uderzenia, zanim podjęte zostaną środki obronne.

Kirk wyłączył emiter. Pochylił się nad Tauncerem.
— Niech pan wstaje — powiedział. — Joe, podaj mi rękę. — postawili roztrzęsionego Tauncera na nogi. — Wsadź go do samochodu i zabierz go do Charterisa. Spróbuj go przekonać, żeby pozwolił na postawienie Piątej w stan alarmu bojowego. Każda minuta może się liczyć – jeśli złapią nas na ziemi, jesteśmy ugotowani.
— Kirk…
— Nie dyskutuj. Jeżeli coś mi się stanie, Lamed przejmuje dowodzenie i ma w pełni współpracować z admirałem Laneyem. Ty…
— Co chciałeś powiedzieć przez to, że coś ci się stanie, przecież też wracasz.
— Nie.
Ściągnęli Tauncera ze schodków z przodu domu.
— Ale przecież statek zwiadowczy…
— Właśnie o to chodzi. Słyszałeś, co on mówił. Statek zwiadowczy nie może ponownie wystartować.
— Co więc masz zamiar zrobić? — spytał Garstang. — Stanąć i złapać go gołymi rękoma? Niemożliwe, byśmy na czas otrzymali jakąś pomoc z Nowego Jorku.
— Tak — zgodził się Kirk. — Muszę więc spróbować znaleźć pomoc tutaj na miejscu.
— Od tych ludzi?
— Nie słyszałeś? — uśmiechnął się Kirk. — Jestem miejscowym chłopcem.
— A co, jeśli nawet ją otrzymasz? Gromada farmerów. Nawet jeśli cię posłuchają, co jest mało prawdopodobne…
Wsadzili Tauncera do samochodu.
— Lepiej zwiąż mu też nogi — poradził Kirk. — Lyllin! Lyllin, wsiadaj, jedziesz razem z Joe.
— Nie — zawołała z ganku. — Nie mam zamiaru.

— Ale przecież nie możesz tu zostać!

— Jeżeli ty chcesz dać tutaj się zabić, to ja zostaję!

Była na tyle zdeterminowana, że przekonanie jej wymagałoby ciężkiej walki, a Kirk nie miał czasu, by załatwiać to w ten sposób.

— W porządku — powiedział. — Myślę, że z Vinsonami będziesz wystarczająco bezpieczna. — Zatrzasnął drzwiczki za Garstangiem. — Jedźcie już.

Garstang zaklął, ale ruszył w drogę z rykiem silnika, wzbijając chmurę kurzu i żwiru. Kirk pobiegł z powrotem do domu. Większość czucia w boku już mu wróciła i mógł poruszać się całkiem szybko. Ziemianin, Harper, wił się na podłodze, próbując uwolnić się z więzów. Kirk poczęstował go jednym bezwzględnym wyładowaniem sonicznym, które uśpiło go na dzień lub coś koło tego. Będzie można zająć się nim później, kiedy załatwione zostaną bardziej istotne sprawy. Podszedł do telefonu i zadzwonił do Vinsona.

Odpowiedział mu senny głos:

— Właśnie kładłem się do łóżka. O co chodzi?

— Kiedy macie tu jakiś alarmowy przypadek — zapytał Kirk. — W jaki sposób uzyskać jak najszybciej pomoc?

Głos Vinsona natychmiast się rozbudził.

— No cóż, ja szybko dzwonię po okolicy. Chłopcy od razu zbierają się do pożaru, powodzi, czy czegoś innego. Hej, czy masz tam pożar, komandorze?

— Gorzej — stwierdził Kirk. — Czy wy tutaj, macie jakiegoś rodzaju broń?

— No pewnie, niemal na każdej farmie jest strzelba energetyczna do polowania. Ale…

— Powiedz im, żeby się zebrali uzbrojeni i to szybko. Twoja farma. Moja żona i ja zaraz tam przyjdziemy.

— Komandorze, powiedz mi, czy to jest jakiś żart, albo coś podobnego?

— To najmniej zabawny żart, jaki kiedykolwiek przydarzył się Ziemi — ponuro odparł Kirk. — Wezwij ich!

Trzasnął słuchawką, złapał Lyllin pod rękę i poświecił latarką wzdłuż podjazdu i dalej po zalanej światłem księżyca drodze.

Kiedy dotarli do domu Vinsona wszystkie światła były pozapalane, a sam Vinson stał koło drogi, czekając na nich.

— Mam nadzieję, że wiesz co robisz — powiedział z troską do Kirka. — Chłopcy nie lubią, jak się ich ciąga na darmo. Co się stało?

Kirk opowiedział mu szybko, ciężko zasapany, pomagając wejść Lyllin po schodach na ganek. Pani Vinson, mile wyglądająca ciemnowłosa kobieta w różowym szlafroku, krzyknęła z drzwi wejściowych i złapała Lyllin za rękę, aby się z nią przywitać.

— Cóż to, na miłość Boską, się dzieje? Przecież ty, moje biedactwo, niemal lecisz z nóg. Wejdź do domu, usiądź sobie… — Wtedy zauważyła

wyraz twarzy Vinsona. — Co się dzieje? — spytała spokojnie. — Powiedz mi tak, żebym wiedziała co robić.

— Będzie bitwa — powiedział jej Vinson, zdziwionym, na wpół niedowierzającym tonem. — Właśnie wybuchła wojna, a pierwsza bitwa ma być tutaj, w Orville.

— W lesie — pośpiesznie wtrącił Kirk, wskazując ręką. — Tutaj będziecie zupełnie bezpieczni. A jeśli uda nam się ich wziąć z zaskoczenia, to nawet nie będzie potyczka.

— On mówi, że los Ziemi zależy od nas — kontynuował Vinson, nadal tym samym, zdumionym tonem. — Cóż. Niech mnie diabli. Kto by pomyślał!

Na zewnątrz zaryczał silnik samochodu. Tuż za nim następny, a potem kolejne, w nieregularnych odstępach czasowych. Wkrótce podwórze i ganek Vinsona wypełnione były ludźmi, trzymającymi w ręku strzelby myśliwskie. Popatrywali to na Vinsona, to na Kirka, z ciekawością, powątpiewaniem, może nie wrogo, ale na pewno nie w nastroju, wskazującym na chęć władowania się w coś, czego nie rozumieją. Kirk popatrzył w niebo i jęknął. Potem powiedział, tak szybko i przekonująco, jak tylko potrafił.

— A więc, tak to wygląda — podsumował. — Jeżeli ten zwiadowczy statek orioński po tym jak wyląduje, wystartuje z powrotem w kosmos, to wasza Ziemia jutro może być zupełnie odmiennym miejscem. Możemy ich zatrzymać – jeśli będziecie chcieli.

Czekał. Przez chwilę nie było żadnej reakcji, twarde twarze, spoglądające na niego w milczeniu. Potem, jeden z mężczyzn stwierdził:

— Jeżeli ci ludzie przybywają tutaj, aby sprawiać kłopoty, my sprawimy im również – i to poważne. Ale nie potrzebujemy żadnego obcego, żeby mówił nam co mamy robić.

Serce Kirka upadło. Po tym wszystkim miał go pokonać przeklęty ośli upór Ziemian.

Vinson zawołał głośno:

— Co chciałeś powiedzieć mówiąc, obcy! Przecież to jeden z dawnych Kirków z Orville. On nie jest żadnym tam obcym. To właśnie obcy chcą nam dać po głowach!

Myśleli nad tym przez kolejną chwilę, a Kirk znowu popatrzył w niebo. Musiało zostać naprawdę niewiele czasu. Już za kilka minut, być może, wylądują i nie będzie nikogo kto by ich powstrzymał przed ponownym startem i przekazaniem sygnału. A ci tępi farmerzy…

Mężczyzna, który odezwał się wcześniej, popatrzył ponuro na Kirka i rzekł:

— No cóż. Tak jak powiedziałem, nie potrzebujemy obcych wtrącających się w nasze sprawy. Czy nie tak, chłopcy?

Ludzie skinęli głowami na zgodę i pomaszerowali dumnie do samochodów. Kirk odwrócił się, pokonany i wściekły. Będzie musiał spróbować sam…

Po kolei zapalały się z rykiem silniki i samochody zaczęły przejeżdżać obok niego. Wielka czerwona ciężarówka przystanęła za nim i Vinson wyciągnął rękę, by pociągnąć go w stronę szoferki.

— Co tak tutaj stoisz! — krzyknął do Kirka. — Mówiłeś przecież, że mogą wylądować lada chwila!

Kirk, lekko oszołomiony, wspiął się do ciężarówki, siadając obok niego.

— Czy to znaczy, że oni pójdą za mną…

— A co myślałeś? Przecież Fred powiedział, że żadni cholerni obcy z drugiego końca świata nie będą nam się tutaj potajemnie zakradać!

Ciężarówka z rykiem pomknęła po zalanej księżycowym światłem drodze, jadąc za pędzącymi samochodami drogą, którą przyszedł Kirk, wywołując pędzące za nimi echa i wznosząc tak potężny tuman kurzu, że aż poczerwieniało światło księżyca.

Kirk pomyślał sobie: „Nigdy nie zrozumiem tych przeklętych Ziemian. Nigdy!



VIII

Trzy minuty i czternaście sekund przed północą, mały, szybki statek kosmiczny z insygniami kroczącego wojownika na dziobie, opadł z nieba i wylądował na porośniętej krzewami łące, przy krawędzi należącego do Kirka lasu. Dookoła jak okiem sięgnąć nie było niczego, poza ciemną, spokojną masą drzew, kępami jeżyn i blado-białymi kwiatami dzikiej marchwi. Po drugiej stronie łąki znajdował się dom Kirka, z palącą się na nim jedną lampą.

Otworzył się właz i wyszła z niego grupa ludzi, schodząc po rozkładanej drabince. Było ich piętnastu, wszyscy uzbrojeni. Stanęli bez ruchu, rozglądając się i nasłuchując. Potem zaczęli przemieszczać się w stronę domu, szamocząc się i potykając o jeżyny i kępy gęstej trawy, rozsuwając się w tyralierę, jak żołnierze.

Kirk, leżąc za krzewem leszczyny, na obrzeżu lasu, pomachał powoli jedną ręką łukiem od i do siebie, i w krzakach po jego lewej, rozległo się kilka lekkich szmerów. Czekał, leżąc w napięciu, czując jak ciarki chodzą mu po całym ciele i pot zalewa oczy, chociaż noc zrobiła się już chłodniejsza. Liczył, powoli i uważnie poruszając wargami. Pewnie oparty na zgięciu łokcia trzymał ciężki emiter wiązki sonicznej, zabrany z domu, kiedy koło niego przechodzili. Obok niego leżał Vinson, a w pobliżu między drzewami znajdowało się ośmiu kolejnych ludzi, czekających na sygnał Kirka. Kirk w ciemnościach nie widział twarzy Vinsona, ale słyszał jego oddech, szybki i podniecony. Nachylił głowę, zbliżając ją do Ziemianina, i wyszeptał:

— Pamiętaj, żebyś trzymał się na boku, dopóki nie zobaczysz, że wchodzę do środka.

Podniósł się ostrożnie.

— No, dobrze. Teraz.

Zaczął skradać się szybko w stronę spłachetka światła padającego z otwartego włazu statku zwiadowczego. Inni szli za nim. Nie był przyzwyczajony do tego rodzaju podchodów i robił więcej hałasu, niż pozostała dziewiątka razem wzięta. Miał nadzieję, że nikt go nie usłyszy.

Od strony domu doleciały nagle trzaski wyładowań strzelb energetycznych. Ostatnie kilka stóp, Kirk rzucił się biegiem. Szansa na potajemne podkradnięcie się została już utracona, i jedyne co było ważne, to dostać się z emiterem wiązki sonicznej do otwartego włazu. Ta cholerna rzecz ważyła chyba z tonę, ale z zewnątrz, przeciwko płytom pancerza, i mocnemu, podwójnemu kadłubowi statku kosmicznego, byłaby nie bardziej skuteczna, niż proca.

W luku stało dwóch strażników. Skoczyli do otworu wejściowego, wyglądając na zewnątrz, w kierunku domu, z uniesionymi obezwładniaczami. Kirk wrzasnął:

— Brać ich!

Vinson i człowiek z jego drugiej strony wystrzelili niemal jednocześnie. Strażnicy polecieli skłębieni do przodu, spadając na ziemię. Kirk przebiegł między nimi i oparł emiter soniczny o krawędź podłogi luku. Musiał się mocno wyciągnąć, żeby do niego dosięgnąć. Pozostali, zgodnie z jego rozkazami, przywarli do krzywizny kadłuba, po obu stronach drabinki. Kirk walnął w dźwignię urządzenia, ustawiając je na pełną moc, i uruchamiając.

— Wracają tą samą drogą! — wrzasnął Vinson. Patrzył w stronę domu. Kirk wykręcił szyję do tyłu.

Strzały z broni energetycznej migotały w ciemnościach nocy jak błyskawice. Przesuwały się w stronę statku – cała piętnastka lub to co z nich zostało, uciekała przed ludźmi z Orville, których Kirk pozostawił do obrony domu i obejścia.

Zawołał desperacko:

— Zatrzymajcie ich! Do diabła, czy nie możecie ich zatrzymać?

Emiter wiązki sonicznej wyślizgiwał mu się z rąk, podskakując po gładko wytartym metalu kantu włazu, na skutek własnych wibracji. Musiał się odwrócić, żeby go przytrzymać.

Na pokładzie statku zapanowało potężne zamieszanie, dobiegał stamtąd trzask tłukących się rzeczy i głosy ludzi wydających z siebie jakieś nieartykułowane krzyki. Do przejścia wbiegł słaniając się na nogach wysoki, siwowłosy mężczyzna, z kapitańskimi gwiazdkami na naramiennikach. Upadł, leżąc bez ruchu. Jego ręce podrygiwały w rytm zgrzytnięć podłogi.

Kirk wyłączył emiter i odrzucił go na bok. Wszedł po drabince i na górze zatrzymał się na chwilę, aby rzucić okiem, co się działo na łące. Ludzie z Orville, którzy nadbiegli za najeźdźcami, wypadli spoza krzaków. Ich broń strzelała linią postrzępionego światła pomiędzy jeżynami i białymi kwiatami. Potem zapadła ciemność i nagły spokój.

— Chodźcie! — zawołał Kirk, a jego głos rozszedł się daleko ponad łąką. Potem pobiegł przez przejście, z Vinsonem i pozostałymi ośmioma ludźmi za plecami. Siwowłosy kapitan nie poruszył się, kiedy przebiegali koło niego.

To było niemal łatwe. Siedmiu, ośmiu, dziewięciu marynarzy z załogi, leżało na podłodze w głównym korytarzu oraz w wychodzących na niego drzwiach. Wszyscy nieprzytomni. Łącznościowiec ciągle jeszcze wykonywał jakieś nieskoordynowane ruchy rękoma na swoich przyrządach, ale to były jedynie odruchy. Cały sprzęt rozleciał się na kawałki, pozostały tylko fragmenty potłuczonego szkła i plastiku. Na niewielkim, kompaktowym mostku lepiej chronionym przez opadające grodzie, byli dwaj młodsi oficerowie i trzej marynarze, ciągle przytomni, ale za bardzo oszołomieni, aby stawiać opór.

— No cóż — powiedział Vinson, ciężko oddychając, z ciągle lśniącymi oczyma. — Dobrze się spisaliśmy.

— Znakomicie — odparł Kirk, uśmiechając się szeroko. Pozostała ósemka także wyszczerzyła zęby w uśmiechu, potakując głowami sobie

nawzajem oraz jemu. Walczyli razem, wygrali razem i teraz wszyscy byli towarzyszami, ludźmi z Orville, ludźmi z Ziemi. To było niezłe uczucie, stwierdził Kirk. Naprawdę wspaniałe.

Przyszło kilku z ludzi pilnujących łąki. Z grupy piętnastu marynarzy ze statku zwiadowczego, wszyscy zostali złapani. Wśród ludzi z Orville było kilku poszkodowanych, to znaczy lekko poparzonych lub postrzelonych wyładowaniem paraliżującym, ale nie było żadnych ofiar śmiertelnych.

— Dobrze — stwierdził Kirk. Popatrzył na Orionidów. — Gdzie by można ich wsadzić, tak żeby nie uciekli?

Vinson zastanowił się.

— Nasze miejscowe więzienie jest trochę małe, ale wydaje mi się, że dałoby się ich tam wcisnąć.

— To nie na długo — zauważył Kirk. — Grube ryby bardzo szybko przejmą ich z waszych rąk.

— Dopilnujemy tej sprawy — obiecał Vinson. — Domyślam się, że będziesz chciał teraz zadzwonić do Nowego Jorku. I nie martw się o kobiety, zatrzymam się koło mojego domu i powiem im, że nic nam się nie stało.

— Dzięki — odparł Kirk. Poszedł przez łąkę do domu i zadzwonił do Charterisa.

Dalej rzeczy potoczyły się z desperacką szybkością. Samochody powietrzne floty wylądowały w Orville i koło domu Kirka. Przyleciał z nimi również Charteris. Obejrzał oriański statek zwiadowczy, krótko naradził się z doradcami, a potem spotkał się z Kirkiem.

— Chyba powinienem pana przeprosić, panie komandorze — powiedział, nieco sztywno, — ale nie mam zamiaru tego robić. W naszej sytuacji, nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko podejrzewać każdą potęgę zbyt mocną, abyśmy mogli sobie z nią łatwo poradzić.

— Nie proszę absolutnie o nic — zapewnił Kirk, — poza pozwoleniem na zabranie mojej eskadry z ziemi, zanim Orion uderzy.

Charteris skinął głową.

— Pańska eskadra jest w chwili obecnej przygotowywana do akcji. Sugeruję, żebyśmy od razu wracali do Nowego Jorku, aby naradzić się a admirałem Laneyem i określić strategię.

Następne parę godzin miało wręcz gorączkowy charakter. Rozkazy, przygotowania, żądania, spory. Kirk znalazł się w całkowicie nieoczekiwanym paraliżującym klinczu – oślej, upartej dumy Ziemian.

— Doskonale rozumiemy — lodowatym tonem stwierdził admirał Laney, — że jesteśmy siłą kosmiczną piątego rzędu, ale nigdy wcześniej nie uciekaliśmy przed bitwą i nie mamy zamiaru robić tego obecnie.

— Ale przeciwko dwóm uderzeniowym eskadrom z Sektora Oriona…

— Jesteśmy bardzo wdzięczni za obecność Piątej z Liry — oświadczył Laney, — ale nasze statki przyjmą na siebie siłę ataku.

— Sir — powiedział Kirk z szacunkiem w głosie, i rzeczywiście tak czuł, — byłbym dumny, walcząc pod pańskimi rozkazami. Ale fakty są faktami.

Myślę, że rozumie pan, że Piąta z Liry posiada również pewną dumę. Ale my nie mamy zamiaru przyjmować na siebie siły żadnego ataku, w sytuacji gdy wiemy z góry, że siły przeciwnika są dwukrotnie większe. Krótko mówiąc, jeśli ma pan zamiar spotkać się z Solleremosem frontalnie, to spotka się pan z nim sam.

— A teraz — kontynuował, odwracając się do wielkiej, szczegółowej mapy Układu Słonecznego, — przedstawię mój pomysł. Wiemy z badania vera-emiterem kapitana oriońskiego statku zwiadowczego, że start jego okrętu miał być dosłownie sygnałem do ataku. Nie ośmielili się podjąć ryzyka przesłania wiadomości radiowej, nawet kodowanej, która mogłaby zostać przejęta. Tak więc, jako wiadomość miał posłużyć start kursem prowadzącym dokładnie w stronę współrzędnych ukrytej floty. Będą ,mogli go wykryć poprzez skaner ultrafalowy, korzystając z przekaźników umieszczonych w uprzednio wybranych punktach głębokiego kosmosu. A więc, mamy współrzędne…

Wypisał je na mapie.

— Poprowadzone dalej, do punktu zbieżności, powinno to dawać pozycję floty Oriona w przybliżeniu tutaj – daleko poza tą mapą, oczywiście, ale mniej więcej na południowy wschód od gwiazdy Saif. Przypuszczalnie więc zaatakują wzdłuż tej linii… — Narysował ją, grubą i czerwoną, jak ostrze sztyletu wycelowane w serce Ziemi.

— Z grubsza nadir-punkt zero sześć, z naszego punktu widzenia — wtrącił Laney. — I co z tego?

— Tutaj — zauważył Kirk, — zdaje się, że macie coś w rodzaju naturalnych kozłów hiszpańskich[1], pożyczając ten starożytny termin.

I wskazał palcem na zamglony i pocętkowany obszar, leżący między Marsem a Jowiszem.

— Pas Asteroidów — zamyślił się Laney. — Tak. My znamy szlaki pozwalające przez niego przejść, ale wszyscy inni uznaliby go za trudny do pokonania. — Oczy mu zajaśniały. — Mnóstwo miejsc na zasadzki. Tak, rozumiem już, do czego pan zmierzał. Gdybyśmy zdołali związać walką ich główne siły w tych śmieciach…

— Dokładnie. Zwabić ich tam i nękać, to wszystko co możecie zrobić. Teraz dalej. Oni będą się spodziewać, że uda im się złapać Piątą z Liry na powierzchni Ziemi. Z tego co wiedzą, Tauncerowi się udało i cała akcja przebiega pomyślnie. Może więc, nie będą się aż tak pilnować. A my będziemy tu w kosmosie, kryjąc się ponad Słońcem, osłonięci przed ich radarami. Kiedy wy ich przytrzymacie…

Wykonał ręką gest cięcia z góry.

— To mi się podoba — stwierdził Laney. Poważnie uścisnął rękę Kirka. Potem zwrócił się do Charterisa i pozostałych, którzy zebrali się z zaniepokojonymi twarzami w Sali konferencyjnej. — Wydaje mi się, że możemy zabierać się do roboty.

Charteris westchnął. Podniósł interkom i krótko do niego przemówił.

[1] Rodzaj przenośnych drewnianych zasieków polowych (zestawy drewnianych krzyżaków z zaostrzonymi końcami), chroniących przed atakiem jazdy (przyp. tłum.)

Na północy, pola wokół Orville rozjaśnił nowy dzień. Na łące za domem Kirka jeżyny i dzikie marchwie podeptane były przez nogi ludzi i koła ciężarówek. Teraz już sprzęt i ludzie zniknęli, poza jedną ciężarówką z potężnym wyposażeniem elektronicznym. Samochód został wycofany na bezpieczną odległość od oriońskiego statku zwiadowczego. W systemie sterowania statku, dokonane zostały niezbędne modyfikacje. Obecnie, ekipa w ciężarówce czekała już tylko na sygnał z domu.

W końcu nadszedł.

Ludzie z ciężarówki przystąpili do pracy, aktywizując przekaźniki zdalnego sterowania i ustawiając ustalone wcześniej serie współrzędnych. Potem wciśnięto przyciski startu.

Sprawiający pozory życia, w każdym aspekcie, orioński zwiadowca wystartował i ruszył wyznaczonym kursem – fałszywy przewodnik, cichy i pusty, bez żywych istot na pokładzie.

Stojąc na stopniach domu Vinsona, Lyllin obserwowała jak idzie w górę i znika w błękicie nieba. Odbyła tylko jedną krótką rozmowę telefoniczną z Kirkiem. „Zaczekaj tam. Wrócę po ciebie.” A teraz odległy, cichnący grzmot przelatującego statku zwiadowczego, przywodził jej na myśl oddalające się kroki wszystkiego co kiedykolwiek kochała, znikające za odległymi wzgórzami.

Odwróciła się powoli i weszła do domu.

IX

Niebo pod nimi płonęło żywym ogniem. Słońce, którego atomy nieustannie były rozrywane, a potem odradzały się, kipiało szalejącą energią, polami magnetycznymi, elektrycznymi, światłem, promieniującym ciepłem, przetaczającym się przez niebo kosmicznym sztormem, wyrzucając z siebie gwałtowne fontanny i rozbryzgi wapniowego fioletu, sodowej żółci, błękitu, czerwieni i purpury.

Ponad tym wszystkim, jak ponad nieskończonym ognistym oceanem wisiała niewielka grupa srebrnych statków. Wstrząsane i rzucane burzą promieniowania, rozrywane przez potężny uchwyt tytanicznych pół magnetycznych, przypiekane płomieniem gwiazdy, walczyły o utrzymanie pozycji. Ich formacja falowała, mieszała się, formowała ponownie i znowu rozpadała, ale ciągle trzymały się razem.

Na mostku Starsong, chwytając się stojaków, kiedy pokład przechylał się i trząsł im pod nogami, Kirk i Garstang stali, obserwując ekrany.

— Nawet śladu! — powiedział Garstang Kirkowi na ucho. — A przecież nie możemy tak siedzieć tutaj bez końca!

Na jednym z ekranów widoczny był pierścień Pasa Asteroidów, postrzępiona obręcz odłamków skalnych, pyłu, kamieni i małych jałowych planetek, czarnych kiedy zostały ocienione, błyszczących jak heliografy kiedy złapały światło. Poza nimi rozciągał się kosmos, bardzo rozległy, bardzo ciemny, bardzo pusty, prowadzący do Oriona i jego wiszącego nad ich głowami miecza.

W tych głębokich pustkowiach poruszało się powoli pięć statków. Ziemskich statków, zachowujących się jak normalny patrol. Reszta ziemskiej floty kryła się pośród asteroidów. Nawet promienie przeszukujące, które dostarczały informacji widocznej na ekranie, nie były w stanie ich dostrzec.

Nagle Garstang chwycił Kirka za ramię.

— Tam — powiedział. Pochylił się do przodu i pokazał końcem swego grubego palca wskazującego.

Z głębin kosmosu, ciągnących się ku gwieździe Saif, zbliżał się rój niewielkich plamek, które można by uznać za fragmenty kosmicznego gruzu, gdyby nie to, że poruszały się razem i z bardzo dużą szybkością. Mknęły w stronę Układu Słonecznego, nabierając jeszcze prędkości, robiły się coraz większe, świecąc światłem słonecznym odbitym na ich wypolerowanych burtach. Dwie pełne eskadry z floty Solleremosa, na podejściu do planety.

Pięć ziemskich statków, znajdujących się poza pierścieniem, zrobiło zwrot w doskonałym szyku i wzięło kurs na zewnątrz układu, tak by się z nimi spotkać.

Kirk poczuł suchość w ustach. Po skroniach, po całym ciele, spływały mu powoli kropelki potu. Dłonie miał wilgotne.

— Ekrany znów poszły w diabły — powiedział i zaklął.

Ekrany jaśniały bezużyteczną bielą, nawet wykorzystywane przez nie potężne promienie, czasami były odkształcane i tłumione przez wybuchy elektryczności Słońca. Po chwili obraz znów stał się wyraźny.

Statki z Ziemi nie odleciały daleko. Nagle ponownie zawirowały w zwrocie, tym razem rezygnując z utrzymania szyku. Z dysz ich silników strzelały strumienie światła, po kolei, szybko się zmieniając, każdy statek strzelał, kiedy tylko uzyskał namiar na cel. Potem w mgnieniu oka nabrali prędkości i uciekli do Pasa.

Jeden z krążowników Orionidów wybuchnął wielkim ogniem i zniknął.

Garstang krzyknął i, jakby czekając na ten sygnał, ekran ponownie zgasł.

Kirk otarł twarz rękawem swojego munduru i zachował spokój. Ziemskie statki były tak nieliczne, a przeciwnik miał ich tak wiele, siła nieco ponad dwukrotnie większa od jego eskadry. Daleko w dole, Ziemia leżała zupełnie otworem, obnażona, całkowicie bez obrony. Kirk pomyślał o Lyllin, w domu Vinsona, koło tej zapiaszczonej drogi przebiegającej przed jego frontem. Pomyślał o lesie łące, na której walczyli w nocy, i dosyć interesujące, ale pomyślał jeszcze o kocie. Bezczelna mała bestia.

Czekał na pojawienie się obrazu i obserwował.

Grupa oriońskich statków odłączyła się od głównej floty i pogoniła za ziemskimi jednostkami. Były znacznie szybsze. Długie ramię Solleremosa, wyciągało się teraz szybko i jeden z ziemskich krążowników zamrugał i zniknął w odważnym, krótkim wybuchu płomieni. Pozostałe cztery dotarły do Pasa.

Orionidzi zanurkowali za nimi.

— Teraz — wyszeptał Garstang. — Teraz, teraz…

Osiem krążowników oriońskich, najwidoczniej wydzielonych, aby zniszczyć ten patrol, pędziło zwodniczo pustym „korytarzem” przez asteroidowy gruz. Wiązki skanerów ustawiły się pod lepszym kątem, aby je śledzić, i ekran pokazywał teraz dokładniejszy obraz tego kamiennego pustkowia. Ziemskie statki zniknęły. Przejście rozszerzało się w jamę bez wyjścia, otoczoną dziko kotłującymi się skałami. Oriońskie krążowniki szybko zrobiły w tył zwrot, praktycznie skrobiąc sobie nawzajem marchewkę, ale zanim zdążyły zakończyć manewr, cztery ziemskie statki i pół tuzina innych pojawiły się wokół nich ze wszystkich stron, dosłownie znikąd.

— Strzelajcie do nich — wymamrotał Garstang. — Och, do diabła, jazda na nich i strzelać!

I zaczęli do nich strzelać. To był krótki holokaust pełen rozbłysków światła, po którym krążowniki Orionidów zniknęły.

— To ich zabolało — odetchnął Garstang. — Nieźle dostali.

Odwrócił się i popatrzył na Kirka. Kirk uniósł rękę, jego ciało pochyliło się lekko do przodu, a wzrok w skupieniu wbity był w ekran. Tam, w Pasie Asteroidów, właśnie zadziałała przygotowana pułapka. A teraz Orionidzi

wiedzieli już, że mają przed sobą całą ziemską flotę – siłę zbyt małą aby ich powstrzymać, ale zbyt znaczącą, aby można było pozostawić ją na swojej flance lub tyłach. Eskadry zmieniły kurs, skręcając po wydłużonej, łukowatej krzywej, w stronę ziemskich statków, które unosiły się, ewidentnie w chwili zawahania, ponad obrzeżem kosmicznego gruzu.

Kirk opuścił rękę w geście cięcia.

— Teraz!

Piąta z Liry runęła znad Słońca.

Teraz.

To właśnie była chwila, jedyna odpowiednia chwila i kolejnej już nie będzie. Niezależnie od tego, czy zostanie ona wykorzystana, czy nie. Wobec przewagi przeciwnika w statkach, w liczbie marynarzy, w sile ognia, element zaskoczenia był ich jedynym atutem.

Słońce pozostawało z tyłu, krawędź Pasa przesuwała się, pochylała i falowała, kiedy przecinali płaszczyznę ekliptyki. Z ognistego pieca, w ogień walki, na pełnym ciągu.

Długa linia oriońskich statków wygląda przepięknie, rozciągnięta na tle błyszczącej pustki kosmosu.

Starsong jęczy i drży, jak żywe stworzenie. Wydawało się, że słychać bicie jej serca, pulsujące tętnienie energii, wytężonej do ostatecznych granic, a nawet je przekraczającej. Garstang w swoim fotelu kapitańskim zachowuje żelazną twarz, nieprzeniknioną, spokojną. Na jej rysach lśni jednak pot. Wszyscy ludzie zupełnie zamilkli.

Komandor boi się.

Statki, ludzie, ich życie, planeta. Jak można powiedzieć „Teraz!" i się nie bać?

Flota Oriona w portach widokowych rośnie w oczach. Statki robią się coraz większe, odstępy między nimi rosną. Starsong leci w punkcie ostrza uformowanego jak klin topora. Za nią, po obu stronach, podąża w zwartej formacji reszta eskadry.

Napiętym, stanowczym głosem Komandor rozkazuje:

— Przygotować się do starcia.

Piąta z Liry, opadający klin, ostrze topora, uderza z góry w linię krążowników i rozcina ją na dwie części.

Natychmiast, wcześniej wąsko ustawione skrzydła, rozchylają się w szeroki wachlarz, odpychając rozdzielone grupy na boki, tworząc tak szeroki odstęp między nimi, że już nie będzie możliwości jego zamknięcia. Wybuchają pociski, małe, oślepiające słońca, małe fontanny ognia piekielnego, rozrywające statki, palące je, niszczące. Skrzydła jednak posuwają się dalej. Część linii Orionidów została ciasno stłoczona i zepchnięta w gruz Pasa, gdzie ziemskie statki uderzają raz za razem, i dumne krążowniki z wypolerowanymi burtami, zmieniają się we wraki, w szczątki, aby dołączyć do kosmicznego gruzu, krążącego w swej odwiecznej podróży wokół Słońca. Druga grupa zostaje zepchnięta z powrotem otwarty kosmos, w kierunku Oriona.

A Starsong poluje na Betelgeuse, flagowy statek floty Solleremosa.

Kirk mówi:

— Jeśli uda nam się ich dopaść, to myślę, że reszta może wracać do domu. Pierwsza salwa…

Druga salwa.

Betelgeuse odpowiada i kosmos niknie w chmurze ognia. Starsong zachwiała się i ludzie polecieli na kołyszący się metalowy pokład. Na pulpicie informacyjnym zapalają się czerwone światełka. Gdzieś w głębi organizmu statku zatrzaskują się grodzie uszczelniające. Starsong ma w sobie dziurę i wielu ludzi zginęło, ale statek ciągle żyje, ciągle jest na tyle silny, by mógł poruszać się i walczyć.

Trzecia salwa.

Betelgeuse rzuca się do przodu i jej silniki wypuszczają strugę piekielnego ognia, podwójny kwiat śmierci i zniszczenia, Starsong rzuca się w bok, desperacko, wstrząśnięta, i ponownie jej porty widokowe wypełniają się ogniem, a na pulpicie migoczą kolejne czerwone światełka.

Czwarta salwa.

Betelgeuse dziwnie zadrżała. Z ognia i płomieni, powoli jakby we śnie, wyłaniają się dwie części statku, dziób i rufa, niezależnie od siebie, poruszając się w różnych kierunkach. Po chwili widać biały, oślepiający rozbłysk i statek zniknął.

Oriońska flota, pozbawiona dowództwa, zaskoczona, pobita, poszarpana i poraniona, idzie w rozsypkę. Pojedynczo, parami, w niewielkich grupkach, biorą nogi za pas, zmierzając w stronę otwartego kosmosu i znikając w oddali.

Piąta z Liry i ziemskie statki podążają za nimi, ale niezbyt daleko. Kosmos jest pusty, a na statkach zapanowała ogromna cisza, w której ludzie oddychają niemal bez szmeru, spoglądając na wielką nicość i zaczynając czuć, że ciągle jeszcze żyją. Nie ma żadnego światła, poza tym, które daje odległe Słońce i jeszcze bardziej odległe gwiazdy. Asteroidy Pasa krążą po swej orbicie, a strzępy rozerwanego metalu, które niegdyś były statkami opadają powoli w jego stronę.

Po pewnym czasie, na mostku Starsong, Garstang odwrócił się w stronę Kirka. Jego twarz była spocona, a oczy miały oszołomiony wygląd. Spytał:

— I co teraz?

— Czekamy i zobaczymy co — odparł Kirk. — Być może nic.

— Nic?

— Uderzenie Solleremosa chybiło. Według mnie, jeżeli my nie rozgłosimy oficjalnych wiadomości o tej bitwie, będzie wolał załatwić to tak, jakby w ogóle nic się nie wydarzyło. Sądzę, że Charteris również tak to widzi.

I rzeczywiście jego słowa się spełniły. Bitwy, tak naprawdę nie można było utrzymać w tajemnicy, ale władze Ziemi udawały, że nigdy się nie odbyła. Nie było sensu rozpoczynać wojny na pełną skalę, a tej można będzie uniknąć, jeśli Solleremos pojmie otrzymana nauczkę.

Wyglądało na to, że pojął ją doskonale. Ze strony Oriona panowało długie milczenie. Potem nadeszły rutynowe gratulacje, z okazji jubileuszu. Jak się okazało, gubernator Sektora Oriona, żywił jak najlepsze uczucia w stosunku do Ziemi.

— Ten taki – owaki musi być wściekły, ale nie spróbuje już ponownie — stwierdził Kirk.

Do niego i do Eskadry przyszła inna wiadomość, od Ferdiasa. Dobra robota. To było wszystko. Ale jak na Ferdiasa, to naprawdę wiele.

A potem rozbłysły uroczystości Jubileuszu, na Ziemi. Fajerwerki, orkiestry, przemowy, w końcu przelot – pobijane, potężne giganty z Piątej z rykiem przemierzały niebo za prowadzącymi paradę, jeszcze bardziej nawet poobijanymi, ziemskimi krążownikami.

Z muzeum wyciągnięto najstarszy ze wszystkich statków kosmicznych i wszyscy wstrzymywali oddech i zaciskali palce, kiedy zataczając się, chwiejąc i trzęsąc wzleciał w niebo, dzielnie obleciał dookoła planetę i jakimś cudem zdołał bezpiecznie wylądować z powrotem.

I w ten sposób, wielki dzień się skończył.

Garstang, wyglądający dziwnie w czarnym ziemskim mundurze, żarliwie namawiał Kirka, w dniu poprzedzającym odlot Piątej.

— Kirk, Przecież wiesz, że traktują cię tu jak naprawdę wielkiego bohatera. Za parę lat będziesz musiał odejść ze służby na emeryturę. Dlaczego nie miałbyś wrócić na Ziemię i na niej zamieszkać?

— Ale czemu wszyscy mi mówią o powrocie na Ziemię? — skarżył się Kirk. — Przecież tylko z tego powodu, że miałem tu kiedyś odległych przodków, nie jestem Ziemianinem!

Dodał jeszcze:

— W każdym razie, radzę ci nie wspominać o tym wspaniałym pomyśle Lyllin! Właśnie wybieram się do Orville, żeby ją stamtąd zabrać.

Garstang tylko uśmiechnął się do niego, w dziwny sposób.

Kirk pojechał spokojnymi drogami, przez zielone wiejskie tereny. Złote słońce miękko pieściło mu twarz. Lekki wiaterek niósł delikatny, przydymiony zapach zbliżającej się jesieni. Ziemskiej jesieni – słyszał o niej.

Spokojnie, pięknie – ale to nie była planeta dla niego! „Wracać" na Ziemię, też mi! Przecież mieszkał już na tak wielu planetach i żadna z nich nie wywarła na nim jakiegoś specjalnego sentymentalnego wrażenia. Chociaż, był w stanie zrozumieć, dlaczego ludzie myśleli tak o tej staruszce…

Do diabła, on sam też zaczyna popadać w sentymentalizm! Położył tamę takim myślom i skupił się na prowadzeniu samochodu. Kiedy dojechał do Orville, na każdym rogu ulicy napotykało go gorączkowe wymachiwanie rękoma, a jego nazwisko wykrzykiwały biegnące po chodnikach dzieci.

Kiedy się zatrzymał, Vinson wybiegł mu z domu na spotkanie.

— Twoja żona przeniosła się do waszego domu — wyjaśnił Vinson. Uścisnął mu rękę. Był strasznie podniecony i dumny. — Słyszałeś może – wioska ma zamiar ufundować tablicę pamiątkową. Z nazwiskami nas wszystkich. Będzie na niej napis „Walczyli w bitwie o Orville”. Ani słowa więcej, przykład skromności.

Kirk stwierdził:

— Ta bitwa zasługuje na tablicę. Gdybyście wy tutaj nie sprawili się tej nocy…

— Słyszałem, że jutro wyjeżdżasz — mówił dalej Vinson. — Myślałem sobie, że mógłbym zająć się trochę twoim starym gospodarstwem, kiedy cię nie będzie, obrabiając pola. Miałbym też oko na dom.

Kirk wzruszył ramionami.

— A skąd ci przyszło do głowy, że ja tu jeszcze wrócę?

Vinson odparł enigmatycznie.

— Przecież zrobisz to, co nie? To znaczy – jesteś chłopcem z Orville – to jest twój prawdziwy dom…

Kirk zdusił niecierpliwe słowa, cisnące mu się na usta. Nie ma sensu denerwować tego naprawdę fajnego gościa. Powiedział więc:

— Och, na pewno. Wrócę tutaj…

Pojechał do starego domu. Lyllin siedziała na ganku. Ku swojemu zdziwieniu spostrzegł, że na jej kolanach leniwie rozłożył się duży czarny kot.

Lyllin uśmiechnęła się.

— Zdaje się, że zostałam zaakceptowana. Przez tutejszych ludzi – i przez Toma.

Tom ziewnął i popatrzył swoimi bezczelnymi zielonymi oczyma na Kirka.

— Boki mu się nieźle zaokrągliły — roześmiał się Kirk. — Przekupiłaś tego starego żebraka jedzeniem.

Również się roześmiała.

— Nie wiem tylko jak mu się spodoba podróż kosmiczna. Ale pewnego dnia, przywieziemy go tutaj z powrotem.

— Naprawdę to zrobimy? — spytał Kirk.

Uniosła wzrok do góry.

— Joe Garstang rozmawiał ze mną. Za kilka lat będziesz musiał zrezygnować z czynnej służby. A mnie tu się spodobało, Kirk. Naprawdę spodobało.

Oznajmił, podniesionym głosem.

— Dlaczego, na Boga, każdy musi zakładać, że ja chcę jeszcze kiedyś wrócić w to miejsce? Czy możesz mi powiedzieć?

— A nie chcesz?

Zaczął odpowiadać, ale przerwał. Spojrzał z ganku starego domu, na światło słoneczne zalewające zieloną dolinę, na stare drzewa za polem, na wszystko to, co go tak dziwnie chwyciło za serce, a on nawet tego nie zauważył.

Odparł:

— No dobrze, nie wiem. Może.

Lyllin uśmiechnęła się.

Tej nocy Piąta wyruszyła w drogę, z wielkim grzmotem, który przetaczał się głośniej i głośniej ponad miastami i wioskami. Wielkie czarne potwory przelatywały szybko w górze przez połyskujące gwiazdami niebo, wyrykując, wyhukując, wykrzykując gigantyczne pożegnanie, obserwującym je milionom ludzi, podczas gdy oni pośpieszyli w podróż do gwiazd.

KONIEC